

GEORGES SIMENON

POMYŁKA MAIGRETA

**PRZEŁOŻYŁA AGNIESZKA DANIŁOWICZ
TYTUŁ ORYGINAŁU MAIGRET SE TROMPE**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zegar wskazywał dwadzieścia pięć po ósmej, kiedy Maigret wstał od stołu, kończąc ostatnią filiżankę kawy. Chociaż był dopiero listopad, w pokoju paliła się lampa. Pani Maigret stała przy oknie i usiłowała odróżnić we mgle sylwetki ulicznych przechodniów, którzy skuleni, z rękami w kieszeniach, szli pospiesznie do pracy,

— Powinieneś chyba włożyć coś ciepłego — powiedziała. Obserwując przez okno ludzi mogła naprawdę zdać sobie sprawę, jaka jest pogoda. Wszyscy tego ranka szli szybko, wiele osób nosiło szaliki, zauważyła też, że prawie wszyscy kichają i uderzają nogą o nogę, jakby chcąc się rozgrzać.

— Zaraz przyniosę ci płaszcz.

Kiedy zadzwonił telefon, Maigret trzymał jeszcze filiżankę w ręku. Teraz on z kolei patrzył na domy naprzeciwko, niemal całkowicie przesłonięte żółtawą mgłą, jaka utworzyła się przez noc na ulicach. Podniósł słuchawkę.

— Halo! Komisarz Maigret? Tu Dupeu z dzielnicy Ternes.

Ciekawe, że dzwonił właśnie komisarz Dupeu, gdyż był to człowiek chyba najbardziej pasujący do atmosfery tego ranka. Dupeu pracował przy ulicy Etoile jako komisarz policji. Miał zęza. Jego żona miała zęza. Przypuszczano, że jego trzy córki, których Maigret nie znał, też mają zęza. Dupeu był niezwykle sumiennym pracownikiem i do swoich obowiązków podchodził z chorobliwym niemal przejęciem. Każdy przedmiot, wszystko wokół niego wydawało się ponure i chociaż wiadomo było, że to najlepszy pod słońcem człowiek, wszyscy starali się go unikać. Nie mówiąc już o tym, że Dupeu, latem jak i zimą, chodził stale zakatarzony.

— Przepraszam, że panu przeszkadzam i dzwonię do domu. Miałem nadzieję, że pana jeszcze zastanę, i pomyślałem sobie...

Nie było innego wyjścia, jak przeczekać tę falę słów. Dupeu musiał się tłumaczyć. Odczuwał nieustającą potrzebę wyjaśniania, dlaczego robi to czy tamto, jak gdyby czuł się winny.

— Wiem, że pan zawsze lubi być osobiście na miejscu wypadku. Może się mylę, ale mam wrażenie, że chodzi o dość niezwykłą sprawę. Właściwie nic jeszcze nie wiem albo prawie nic. Dopiero co tu przyszedłem.

Pani Maigret czekała z płaszczem w ręku, komisarz powiedział cicho w jej stronę, nie chcąc, żeby się niecierpliwiła:

— To Dupeu.

Dupeu ciągnął monotonnym głosem:

— Przeszedłem do biura jak zwykle o ósmej i właśnie przeglądałem poranną pocztę, kiedy siedem minut po ósmej zadzwoniła jakaś sprzątaczką. Znalazła ciało wchodząc do mieszkania przy avenue Carnot. To dwa kroki stąd, więc od razu poszliśmy tam z moim asystentem.

— Morderstwo?

— Mogłoby od biedy wyglądać na samobójstwo, ale jestem przekonany, że to morderstwo.

— Kto to?

— Niejaka Luiza Filon, nigdy o niej nie słyszałem. Młoda kobieta.

— Zaraz tam będę.

Dupeu znowu zaczął coś mówić, ale Maigret udając, że tego nie zauważa, odłożył słuchawkę. Przed wyjściem zadzwonił jeszcze na Quai des Orfèvres i poprosił o połączenie z Instytutem Medycyny Sądowej.

— Czy jest gdzieś tam Moers? Tak, poproście go do telefonu. Halo! To ty, Moers? Czy mógłbyś przyjechać ze swoimi ludźmi na avenue Carn? Morderstwo... Zaraz tam będę.

Podał Moersowi numer domu, włożył płaszcz i w kilka chwil potem jeszcze jedna szara sylwetka dołączyła do idących szybkim krokiem we mgle ludzi. Maigret znalazł taksówkę dopiero na rogu bulwaru Voltaire.

Szerokie aleje odchodzące od placu Etoile były niemal zupełnie wyludnione. Śmieciarze zbierali pojemniki. W większości okien firanki były jeszcze zasunięte i tylko w kilku oknach widać było zapalone światło.

Przed domem na avenue Carnot stał policjant w pelerynie, ale Maigret nie zauważył żadnego zgromadzenia, żadnych ciekawskich.

— Które piętro? — zapytał.

— Trzecie.

Wszedł do bramy, gdzie lśnił miedziany, wypolerowany guzik dzwonka wpokoju, w którym konsjerżka jadła śniadanie, paliło się światło. Spojrzała przez szybę na komisarza, ale nie podniosła się. Winda chodziła cicho, jak w każdym dobrze utrzymanym domu. Wypastowaną dębową posadzkę schodów pokrywał dywan w intensywnie czerwonym kolorze.

Na trzecim piętrze komisarz stanął niezdecydowany przed jednym z trzech mieszkań, kiedy otworzyły się drzwi z lewej strony. Pojawił się w nich Dupeu, miał czerwony nos, tak jak się komisarz tego spodziewał.

— Proszę, niech pan wejdzie. Na wszelki wypadek niczego nie ruszałem, czekając na pana. Nawet nie przesłuchałem jeszcze tej sprzątaczk.

Przeszli przez korytarz, gdzie stał tylko wieszak i dwa krzesła, i dotarli do oświetlonego pokoju.

— Sprzątaczkę od razu uderzyło to, że palą się lampy. W kącie żółtej kanapy siedziała dziwnie pochylona młoda kobieta o ciemnych włosach. Na jej szlafroku widniała ciemnoczerwona plama.

— Dostała kulę w głowę. Prawdopodobnie strzelano z tyłu, z bardzo bliska. Jak pan widzi, nie upadła.

Była tylko pochylona na prawą stronę, ze spuszczoną głową, jej włosy dotykały niemal dywanu.

— Gdzie jest sprzątaczk?

— W kuchni. Spytała, czy może sobie zrobić filiżankę kawy. Przyszła tutaj, jak twierdzi, o swojej normalnej porze, o ósmej. Ma klucze od mieszkania. Weszła, zauważyła ciało, utrzymuje, że niczego nie dotykała i że od razu do mnie zadzwoniła.

Dopiero w tym momencie Maigret zdał sobie sprawę z czegoś, co od samego początku go dziwiło. Zazwyczaj już na ulicy musiał przedzierać się przez kordon ciekawskich. Zazwyczaj też lokatorzy stoją na czatach wokół mieszkania. A tu panował zupełny spokój, jakby nic się nie wydarzyło.

— Kuchnia jest tam?

Kuchnię, do której drzwi były otwarte, znalazł na końcu korytarza. Obok kuchenki siedziała ubrana na ciemno kobieta o ciemnych oczach i ciemnych włosach i piła kawę, dmuchając, żeby się nie sparzyć.

Maigretowi wydało się, że już ją gdzieś spotkał. Patrzył na nią badawczo, zmarszczywszy brwi. Kobieta wytrzymała spokojnie jego spojrzenie i dalej piła kawę. Była bardzo niskiego wzrostu. Kiedy siedziała, jej stopy ledwie sięgały podłogi, w dodatku nosiła za duże buty, za szeroką i za długą sukienkę.

— Mam wrażenie, że się skądś znamy — powiedział.

Kobieta ani drgnęła.

— Możliwe.

— Jak się pani nazywa?

— Désirée Brault.

Imię Désirée naprowadziło go na ślad.

— Nie była pani kiedyś karana za kradzież w domach towarowych?

— Za to także.

— A za co jeszcze?

— Tyle razy byłam karana!

Jej twarz nie wyrażała żadnej obawy. Na dobrą sprawę nie wyrażała nic. Kobieta przyglądała mu się. Odpowiadała na jego pytania. Ale trudno było odgadnąć, o czym właściwie myśli.

— Siedziała pani w więzieniu?

— Może pan znaleźć wszystko w moich papierach.

— Prostyucja?

— A co w tym złego?

Dawno temu, oczywiście. Teraz zbliżała się już pewnie do sześćdziesiątki. Wydawała się jakby wysuszona. Nie była siwa, ale poprzez przerzedzone pasma włosów prześwitywała skóra.

— W swoim czasie byłam całkiem do rzeczy!

— Od jak dawna pani pracuje w tym mieszkaniu?

— W przyszłym miesiącu będzie rok. Zaczęłam w grudniu, przed Bożym Narodzeniem.

— Cały dzień jest pani tutaj zajęta?

— Nie, od ósmej do dwunastej.

Kawa pachniała tak smakowicie, że Maigret nalał sobie filiżankę. Komisarz Dupeu stał nieśmiało w drzwiach.

— Może pan się napije, Dupeu?

— Dziękuję. Przed niecałą godziną jadłem śniadanie. Désirée Brault wstała i nalała sobie drugą filiżankę.

Suknia dosłownie na niej wisała. Ważyła chyba nie więcej niż czternastoletnia dziewczynka.

— Czy pani jeszcze gdzieś pracuje?

— W paru miejscach, zależy, w jakim dniu tygodnia.

— Czy mieszka pani sama?

— Nie, z mężem.

— On też już siedział?

— Nigdy. Jemu wystarcza wódka.

— Nie pracuje?

— Od piętnastu lat nie przepracował ani jednego dnia, nie wbił nawet gwoździa w ścianę.

Jej głos, równy i spokojny, nie wyrażał goryczy, trudno by też było wyczuć w nim ironię.

— Co się tu działo dziś rano?

Wskazała głową na Dupeu.

— On panu nie mówił? Więc tak: przyszedłam o ósmej.

— Gdzie pani mieszka?

— Koło placu Clichy. Jechałam metrem. Otworzyłam drzwi swoim kluczem i zauważyłam, że w salonie pali się światło.

— Drzwi od salonu były otwarte?

— Nie.

— Czy właścicielka mieszkania zwykle jeszcze spała, kiedy pani przychodziła?

— Wstawała dopiero koło dziesiątej, czasami później.

— Co robiła?

— Nic.

— Co działo się dalej?

— Pchnęłam drzwi do pokoju i zobaczyłam ją.

- Nie dotykała jej pani?
- Nie musiałam wcale jej dotykać, od razu zrozumiałam, że nie żyje. Widział pan kiedyś, żeby ktoś sobie siedział z połową twarzy?
- Co dalej?
- Zadzwoiłam na komisariat.
- Nie zaalarmowała pani sąsiadów czy konsjerżki?
- Wzruszyła ramionami.
- Po co miałabym alarmować ludzi?
- Co było po tym telefonie?
- Czekałam.
- Co pani robiła czekając?
- Nic nie robiłam.
- Prostota jej odpowiedzi zbijała z tropu. Siedziała sobie tu, w tym mieszkaniu, po prostu czekając, aż ktoś zadzwoni do drzwi, może patrząc na ciało zabitej.
- Jest pani pewna, że niczego pani nie dotykała?
- Jestem pewna.
- Nie znalazła pani rewolweru?
- Niczego nie znalazłam. Komisarz wtrącił się do rozmowy.
- Broni szukaliśmy wszędzie, na próżno.
- Czy Luiza Filon miała rewolwer?
- Jeśli nawet miała, nigdy go nie widziałam.
- Czy są w mieszkaniu jakieś meble zamykane na klucz?
- Nie.
- Przypuszczam więc, że pani wie, co jest w szufladach?
- Owszem.
- I nigdy nie widziała pani żadnej broni?
- Nigdy.
- A czy Luiza Filon wiedziała, że pani siedziała kiedyś w więzieniu?
- Wszystko jej powiedziałam.
- Nie odstraszyło jej to?
- Raczej ubawiło. Nie wiem, czy ona też siedziała, ale to możliwe.
- Co chce pani przez to powiedzieć?
- Że zanim tu zamieszkała, była taką spod latarni.
- Skąd pani o tym wie?
- Bo mi powiedziała. A nawet gdyby mi nic nie mówiła...
- Na schodach zabrzmiały jakieś kroki i Dupeu poszedł otworzyć drzwi. To był Moers ze swoimi ludźmi i całym niezbędnym sprzętem. Maigret zwróciła się do niego:
- Poczekaj jeszcze chwilę. Ja zaraz skończę, przez ten czas zadzwoń do prokuratora.
- Désirée Brault fascynowała go, fascynowało go wszystko, co kryło się za jej słowami. Zrobiło mu się gorąco, zdjął płaszcz, usiadł, małymi łydkami popijał kawę.
- Niech pani usiądzie.
- Chętnie. Sprzątaczkę rzadko coś takiego mogą usłyszeć.
- Powiedziała to niemal z uśmiechem.
- Czy przychodzi pani na myśl ktoś, kto mógłby zabić Luizę Filon?
- Absolutnie nikt.
- Często przyjmowała gości?
- Nigdy nikogo nie widziałam, raz tylko przyszedł lekarz, jak miała bronchit. Co prawda ja wychodzę o dwunastej.
- Nie zna pani żadnych jej znajomych?

— Wiem tylko, że w szafie jest szlafrok i męskie pantofle. I pudełko cygar. Ona nie paliła cygar.

— Czy nie wie pani, o jakiego mężczyznę chodzi?

— Nigdy go nie widziałam.

— Nie zna pani jego nazwiska? Nigdy nie dzwonił, kiedy pani tu była?

— Owszem, parę razy.

— Jak Luiza Filon zwracała się do niego?

— Pierrot.

— Czy ktoś ją utrzymywał?

— Chyba ktoś musiał płacić komorne, nie sądzi pan? I całą resztę.

Maigret podniósł się, odstawił szklanekę, nabił fajkę tytoniem.

— Co mam teraz robić? — zapytała.

— Nic. Musi pani jeszcze tu zostać.

Wrócił do salonu, gdzie ludzie Moersa tylko czekali na jego sygnał, żeby zacząć pracę. Panował tu porządek — . W popielniczce stojącej przy kanapie był popiół, trzy niedopałki papierosów, dwa z nich ze śladami szminki.

Przez wpółotwarte drzwi prowadzące do sypialni Maigret zauważył nie bez pewnego zdziwienia, że łóżko jest nie pościelone, poduszka zachowała ślad czyjejś głowy, jakby ktoś tam spał.

— Lekarz jeszcze nie przyszedł?

— Nie ma go w domu. Jego żona właśnie dzwoni do pacjentów, z którymi był na dzisiaj umówiony.

Zajrzał do szafy, wysunął na chybił trafił jakieś szuflady. Ubranie i bielizna wskazywały na kobietę, która nie grzeszy dobrym gustem, w każdym razie nie były to rzeczy, jakich można by się spodziewać u kogoś mieszkającego na avenue Carnot.

— Zajmij się odciskami palców i resztą, Moers. Schodzę porozmawiać z konsjerżką.

— Czy będę jeszcze panu potrzebny? — zapytał komisarz Dupeu.

— Nie, dziękuję. Niech mi pan w Ciągu dnia przyśle raport. Bardzo miło się z panem pracowało, Dupeu.

— Pan rozumie, od razu pomyślałem, że ta sprawa pana zainteresuje. Gdyby w pobliżu kanapy była broń, przypuszczałbym, że to samobójstwo, bo strzał padł prawdopodobnie z bardzo bliska. Chociaż kobiety tego typu trują się na ogół weronalem. Już chyba z pięć lat nie widziałem kobiety, która by strzeliła do siebie z rewolweru. Więc jak nie mogłem znaleźć broni...

— Był pan wspaniały, Dupeu.

— Staram się jak mogę, żeby...

Dupeu mówił przez cały czas, gdy schodzili po schodach. Maigret zostawił go przed mieszkaniem konsjerżki i wszedł do jej dyżurki.

— Dzień dobry pani.

— Dzień dobry, panie komisarzu.

— Pani mnie zna? Skinęła potakująco głową.

— Pani już wie, co się stało?

— Zapytałam tego policjanta, co stoi przed domem. Powiedział mi, że pani Luiza nie żyje.

Pokój konsjerżki wyglądał jak większość mieszczańskich pokojów w tej dzielnicy. Konsjerżką, kobieta zaledwie czterdziestoletnia, ubrana była porządnie i nie bez pewnej kokieterii. Miała dość regularne, choć nieco zbyt grube rysy twarzy.

— Czy to morderstwo? — zapytała Maigreta, który sadowił się przy oknie.

— Dlaczego pani tak myśli?

— Bo gdyby umarła śmiercią naturalną, policja nie zadawałaby sobie tyle trudu.

— Mogła popełnić samobójstwo

- Nie ktoś taki jak ona.
- Pani ją dobrze znała?
- Nie bardzo. Nigdy nie przychodziła do mnie na dłużej, pytała tylko, czy nie ma dla niej poczty, i znikwała. Nie czuła się dobrze w tym domu, wie pan, co mam na myśli?
- Chce pani powiedzieć, że pochodziła z innego środowiska niż reszta lokatorów?
- Tak.
- A do jakiego środowiska należała według pani?
- Nie wiem dokładnie. Nie mam żadnego powodu, żeby o niej źle mówić. Zachowywała się spokojnie, grzecznie.
- Jej sprzątaczką nigdy o tym z panią nie rozmawiała?
- My z panią Brault w ogóle ze sobą nie rozmawiamy.
- Zna ją pani?
- Wcale nie mam ochoty jej znać. Widzę, jak tu wchodzi i wychodzi, to mi wystarcza.
- Czy Luiza Filon była na jakimś utrzymaniu?
- To możliwe. W każdym razie za mieszkanie płaciła regularnie.
- Czy ktoś ją odwiedzał?
- Od czasu do czasu.
- Regularnie?
- Nie można powiedzieć, żeby to było regularnie. Maigret wyczuwał u swojej rozmówczynie jakieś opory.
- W przeciwieństwie do Désirée Brault, konsjerżka wyglądała na zdenerwowaną; często rzucała szybkie, ukradkowe spojrzenia na oszklone drzwi. W pewnej chwili powiedziała:
- Idzie pan doktor.
- Niech pani mi powie, proszę pani... A właśnie, jak się pani nazywa?
- Cornet.
- Pani Cornet, czy pani nie chce czegoś przede mną ukryć?
- Konsjerżka usiłowała patrzeć mu prosto w oczy.
- Dlaczego pan o to pyta?
- Tak sobie. Wolałbym wiedzieć. Czy Luizę Filon odwiedzał zawsze ten sam mężczyzna?
- W każdym razie ja widziałam zawsze tego samego.
- Jak by go pani określiła?
- Muzyk.
- Skąd pani to wie?
- Bo parę razy widziałam, jak niósł pudło od saksofonu.
- Czy był tu wczoraj wieczorem?
- Tak, koło dziesiątej.
- Pani otworzyła mu drzwi?
- Nie. Do jedenastej, kiedy jeszcze nie idę spać, zostawiam drzwi otwarte.
- Ale widzi pani, kto przechodzi?
- Na ogół tak. Moi lokatorzy są bardzo spokojni. Większość z nich to ważne osobistości.
- Więc mówi pani, że ten muzyk przyszedł koło dziesiątej?
- Tak. Był najwyżej dziesięć minut i wychodząc jakby się spieszył. Widziałam, jak szedł szybko w stronę Etoile.
- Czy nie zauważyła pani wyrazu twarzy? Może był poruszony albo...
- Nie.
- Nikt inny nie przyszedł tego wieczoru do Luizy Filon?
- Nie.
- Więc właściwie jeżeli lekarz stwierdzi, że morderstwo zostało popełnione między dziesiątą a jedenastą, można być niemal pewnym...

— Tego nie powiedziałam. Powiedziałam tylko, że nikt inny wczoraj jej nie odwiedzał.
— Czy według pani ten muzyk był jej kochankiem? Nie odpowiedziała od razu, w końcu wyszeptała:

— Nie wiem.

— Co pani ma na myśli?

— Nic. Pomyślałam o komornym.

— Rozumiem. On nie należy do mężczyzn, którzy mogliby swojej przyjaciółce zafundować takie mieszkanie?

— Właśnie.

— Pani nie wygląda na zdziwioną morderstwem tej lokatorki.

— Nie spodziewałam się tego, ale też mnie to nie dziwi.

— Dlaczego?

— Bez żadnego powodu. Wydaje mi się, że tego rodzaju kobiety są bardziej wystawione na niebezpieczeństwo niż inne. Takie w każdym razie ma się wrażenie, jak się czyta gazety.

— Poproszę panią o listę tych lokatorów, którzy wychodzili albo wchodzili wczoraj po dziewiątej wieczór. Wezmę ją od pani później.

— To łatwa sprawa.

Kiedy opuszczał mieszkanie konsjerżki, natknął się na prokuratora i jego zastępcę, wysiadali właśnie z samochodu w towarzystwie asystenta. Poranna mgła nie rozproszyła się jeszcze. Wszyscy trzej wyglądali, jakby im było zimno, i każdy z nich puszczał obłoczki pary z ust.

Uściski dłoni. Winda. W całym budynku, poza trzecim piętrem, panował taki sam spokój. Wypatrywanie policjantów zza wpółotwartych drzwi i grupowanie się na schodach z powodu zabójstwa jakiejś kobiety nie leżało w naturze mieszkańców tego domu.

Ludzie Moersa rozstawili swoje aparaty po całym mieszkaniu, a lekarz skończył oględziny zwłok. Przywitał się z Maigretem.

— O której? — zapytał komisarz.

— Na moje wyczucie między dziewiątą wieczór a północą. A właściwie najpóźniej o jedenastej.

— Przypuszczam, że śmierć nastąpiła błyskawicznie?

— Sam pan widział. Strzał został oddany z bardzo bliska.

— Z tyłu?

— Z tyłu, nieco z boku. Moers wtrącił się do rozmowy:

— Paliła właśnie papierosa, który upadł na podłogę i tam się dopalił. Całe szczęście, że dywan się nie zajął.

— O co właściwie tu chodzi? — zapytał zastępca nie wprowadzony jeszcze w sprawę.

— Nie wiem. Być może banalna sprawa. Ale bardzo by mnie to zdziwiło.

— Ma pan już jakieś przypuszczenia?

— Żadnych. Pogadam jeszcze raz ze sprzątaczką. Przed pójściem do kuchni zadzwonił na Quai des Orfèvres i poprosił Lucasa, który miał tego dnia dyżur, żeby natychmiast przyjechał. Nie rozmawiał już więcej z prokuratorem ani ze specjalistami wypełniającymi nadal swoje zwykłe obowiązki.

Pani Brault siedziała tam, gdzie przedtem. Wypiła już kawę, paliła teraz papierosa, co dziwnie kontrastowało z jej drobną postacią.

— Mogę chyba palić? — powiedziała śledząc wzrok Maigreta.

Komisarz usiadł naprzeciwko niej.

— Niech pani opowiada.

— Co mam opowiadać?

— Wszystko, co pani wie.

— Już wszystko panu powiedziałam.

- Jak Luiza Filon spędzała czas?
- Mogę mówić tylko o tym, co robiła rano. Wstawała koło dziesiątej. Czy raczej budziła się, ale nie wstawała od razu. Przynosiłam jej kawę, wypijała ją w łóżku, paliła papierosa i czytała.
- Co czytała?
- Pisma ilustrowane i powieści. Często też słuchała radia. Zauważył pan pewnie, że na stoliku nocnym stoi radio.
- Do nikogo nie dzwoniła?
- Koło jedenastej.
- Codziennie?
- Prawie codziennie.
- Do Pierrota?
- Tak. Zdarzało się, że w południe ubierała się i wychodziła zjeść coś na mieście, ale raczej rzadko. Przeważnie wysyłała mnie do rzeźnika po zimne mięsa albo gotowe dania.
- Czy zupełnie się pani nie orientuje, jak mogła spędzać czas po południu?
- Myślę, że wychodziła. Musiała gdzieś wychodzić, bo rano znajdowałam brudne buty. Pewnie biegła po sklepach, jak wszystkie kobiety.
- Nie jadała kolacji w domu?
- Rzadko widziałam brudne naczynia.
- Przypuszcza pani, że spotykała się z Pierrotem?
- Z nim albo z kimś innym.
- Jest pani pewna, że nigdy go pani nie widziała?
- Jestem pewna.
- Żadnego innego mężczyzny też nigdy pani nie widziała?
- Tylko jak przychodził ten od gazu albo chłopak ze sklepu z jakimś towarem.
- Od jak dawna jest pani na wolności?
- Od sześciu lat.
- Znudziło się już pani kraść w domach towarowych?
- Do tego trzeba mieć odpowiedni wygląd, a ja się zmieniałam. Właśnie zabierają ciało. Z salonu rzeczywiście dobiegał jakiś hałas i wychodzili stamtąd ludzie z Instytutu Medycyny Sądowej.
- Niedługo sobie używała!
- Co pani ma na myśli?
- Że była w biedzie do dwudziestego czwartego roku życia, a potem miała raptem dwa dobre lata.
- Zwierzała się pani?
- Gadałyśmy sobie, jak to między kobietami.
- Mówiła pani, skąd pochodzi?
- Urodziła się w osiemnastej dzielnicy, właściwie można powiedzieć na bruku. Najlepszy okres życia spędziła w dzielnicy koło bulwaru Chapelle, więc może pan sobie wyobrazić. Jak się tu urządziła, myślała, że będzie jej się nareszcie dobrze żyło.
- Nie czuła się szczęśliwa?
- Sprzątaczką wzruszyła ramionami, spojrzała na Maigreta z pewnym współczuciem, jakby się dziwiła, że komisarz wykazuje tak mało zrozumienia.
- Myśli pan, że było jej przyjemnie mieszkać w takim domu, gdzie ludzie nie raczyli nawet na nią spojrzeć, jak ją mijali na schodach?
- Dlaczego tu zamieszkała?
- Pewnie miała swoje powody.
- To ten muzyk ją utrzymywał?
- Kto panu mówił o muzyku?

— Nieważne. Pierrot jest saksofonistą?

— Chyba tak. Wiem, że gra w jakiejś restauracji. Mówiła tylko to, co chciała powiedzieć. Teraz, kiedy

Maigret miał już nieco wyraźniejszy obraz kobiety nazwiskiem Luiza Filon, był przekonany, że każdego ranka obie kobiety rozmawiały z sobą długo i szczerze.

— Nie sądzę — powiedział — żeby muzyk z restauracji mógł sobie pozwolić na opłacanie takiego apartamentu.

— Ja też nie.

— A więc?

— A więc musiał być ktoś inny — odrzekła spokojnie.

— Pierrot przyszedł do niej wczoraj wieczorem. Ani drgnęła, wciąż patrzyła mu prosto w oczy.

— I pan oczywiście zdecydował od razu, że to on ją zabił, prawda? Mogę panu powiedzieć tylko jedno: oni się kochali.

— Czy to ona o tym pani mówiła?

— Nie tylko się kochali, ale marzyli, żeby się pobrać.

— To dlaczego tego nie zrobili?

— Może nie mieli pieniędzy. A może i dlatego, że ten drugi nie chciał jej zostawić.

— Ten drugi?

— Wie pan tak samo dobrze jak ja, że mówię o tym, który płacił za mieszkanie. Łopata trzeba panu kłaść do głowy czy co?

Maigret wpadł nagle na pewien pomysł, przeszedł z kuchni do sypialni i otworzył szafę. Znalazł tam parę męskich pantofli z błyszczącej kozłej skóry, robionych na miarę przez szewca z ulicy Saint-Honore, jednego z najdroższych w Paryżu. Zdejmując z wieszaka szlafrok z grubego brązowego jedwabiu zauważył metkę firmy krawieckiej z ulicy Rivoli.

Ludzie Moersa już odeszli. Sam Moers czekał na Maigreta w salonie.

— Znalazłeś coś?

— Jak zwykle odciski palców, i stare, i zupełnie świeże.

— Odciski palców mężczyzny?

— Jednego mężczyzny na pewno. Za godzinę będziemy mieli odbitki.

— Przekaż je do kartoteki. Zabierzesz te pantofle i szlafrok. Oddaj to Janvierowi albo Torrence, chciałbym, żeby je pokazali w sklepach, gdzie zostały kupione.

— Myślę, że z pantoflami pójdzie łatwo, mają kolejny numer wyrobu.

W mieszkaniu znowu zapanował spokój i Maigret powiedział do sprzątaczk:

— Nie musi pani dłużej tu siedzieć.

— Mogę zacząć sprzątać?

— Jeszcze nie dzisiaj.

— To co mam robić?

— Wróci pani do siebie. Zabraniam pani opuszczać Paryż. Możliwe, że...

— Jasne.

— Jest pani pewna, że już nic więcej nie ma pani ochoty mi powiedzieć?

— Jak sobie o czymś przypomnę, dam panu znać.

— Jeszcze jedno pytanie: czy z całą pewnością od chwili, gdy znalazła pani ciało, do chwili, kiedy przyjechała policja, nie opuściła pani mieszkania?

— Przysięgam, że nie.

— I nikt nie przyszedł?

— Żywej duszy nie było.

Zdjęła z haczyka siatkę z zakupami, którą chyba zawsze nosiła z sobą, i Maigret upewnił się, czy nie zawiera ona rewolweru.

— Może mnie pan zrewidować, jeśli ma pan ochotę.

Nie zrewidował jej, ale z czystej nadgorliwości i nie bez pewnego skrępowania przejechał dłońmi po jej wiotkiej sukni.

— Kiedyś sprawiłoby to panu przyjemność.

Wysłała, mijając na schodach Lucasa w mokrym kapeluszu i płaszczu.

— Pada?

— Od dziesięciu minut. Co teraz mam robić, szefie?

— Tak na dobrą sprawę to nie wiem. Może zostać tutaj. Jeśli będzie telefon, spróbuj się dowiedzieć skąd. Możliwe, że ktoś zadzwoni koło jedenastej. Uprzedź biuro, żeby założyli podsłuch na ten numer. No, a poza tym szukaj tu dalej. Już to zrobili, ale nigdy nie wiadomo.

— O co właściwie chodzi?

— O jedną panienkę spod latarni z bulwaru Barbès, którą ktoś ulokował wśród tych eleganckich mebli. O ile wiadomo, jej kochankiem był jakiś muzyk z restauracji.

— To on ją zabił?

— Przyszedł do niej wczoraj wieczorem. Konsjerżka twierdzi, że nikt inny nie wchodził.

— Mamy jego rysopis?

— Pójdę jeszcze raz przepytac konsjerżkę.

Ta rozdzielała właśnie pocztę. Według jej słów, Pierrot to młody trzydziestoletni mniej więcej mężczyzna, silnie zbudowany blondyn, o wyglądzie raczej sprzedawcy w sklepie mięsnym niż muzyka.

— To wszystko, co może mi pani powiedzieć?

— To wszystko, panie komisarzu. Jeśli sobie coś przypomnę, dam panu znać.

Dziwne. Taka sama lub prawie taka sama odpowiedź, jakiej udzieliła mu sprzątaczką. Był przekonany, że obie, z różnych zapewne powodów, wystrzegają się powiedzenia mu wszystkiego, co wiedzą.

Chyba trzeba będzie iść aż na Etoile, żeby znaleźć taksówkę. Maigret podniósł kołnierz płaszcza i ruszył w drogę z rękami w kieszeni, jak ludzie, których jego żona widziała z okna tego ranka. Mgła zmieniła się teraz w zacinający, zimny deszcz, kojarzący się od razu z przeziębieniem. Maigret wszedł do narożnego baru napić się grogu.

ROZDZIAŁ DRUGI

To Janvier zajął się mężczyzną zwanym Pierrot i odtworzył jego czynności krok po kroku do momentu, w którym muzyk zniknął.

Nieco przed wpół do dwunastej Lucas, spokojnie przeszukujący mieszkanie na avenue Carnot, usłyszał dawno oczekiwany dźwięk telefonu. Podniósł słuchawkę uważając, żeby się nie zdradzić ani słowem, i usłyszał cichy męski głos:

— To ty?

Zanim cisza w słuchawce mogła się wydać podejrzana, Pierrot dorzucił:

— Nie jesteś sama?

W końcu niespokojnym głosem:

— Halo! Czy to Carnot 22-53?

— Tak, Carnot 22-53.

Lucas wyraźnie słyszał jego oddech. Pierrot dzwonił z automatu, zapewne z jakiegoś baru, wskazywał na to charakterystyczny odgłos spadającego żetonu.

Po chwili muzyk odłożył słuchawkę. Teraz wystarczyło jedynie poczekać na wiadomość z podsłuchu. Zajęło to zaledwie dwie minuty.

— Lucas? Ten facet dzwonił z baru „U Leona” na bulwarze Rochechouart, róg ulicy Riquet.

Chwilę potem Lucas telefonował do komisariatu dzielnicy Goutte d’Or, dwa kroki od bulwaru Rochechouart.

— Czy mogę mówić z inspektorem Janin?

Szczęśliwym trafem inspektor Janin był u siebie w biurze. Lucas poinformował go o przybliżonym miejscu pobytu Pierrota, podał nazwę baru.

— Nie ruszaj się stamtąd, dopóki nie odezwie się Janvier.

Deszcz padał przez cały czas na cegły, beton i kamienie tego miasta, gdzieś tam przemykały się ponuro wyglądające sylwetki ludzi z parasolami. Maigret siedział w swoim gabinecie, krawat miał rozluźniony, przed nim leżały cztery nabite fajki i raport służbowy, który należało wysłać przed południem. Janvier uchylił drzwi.

— Szefie, on dzwonił. Wiemy, gdzie jest. Lucas poderwał na nogi całą dzielnicę Goutte d’Or, Janin powinien już być na miejscu. Ja też tam lecę. Co mam z nim zrobić?

Komisarz spojrział na niego swoimi dużymi zmęczonymi oczami.

— Przywieziesz mi go, tylko spokojnie.

— Nie będzie pan nic jadł?

— Poproszę, żeby mi przynieśli na górę kanapki.

Janvier wziął jedno z czarnych służbowych aut i zatrzymał się w pewnej odległości od baru. Był to wąski, długi lokal o szybach tak zaparowanych, że jego wnętrze pozostawało całkowicie niewidoczne. Janvier pchnął drzwi wejściowe i zobaczył Janina. Siedział przed kieliszkiem wermutu i wyraźnie na niego czekał. Poza nim w barze było tylko czterech klientów. Na płytach posadzki rozsypano trociny, Janvier zauważył także brudnożółty kolor ścian i aparat telefoniczny znajdujący się obok toalety.

— Zwiął?

Janin przytaknął, wyciągając rękę na przywitanie. Właściciel baru, znający zapewne dzielnicowego policjanta, zapytał Janviera nieco ironicznym głosem:

— Pan coś zamawia?

— Piwo.

Inni klienci też ich obserwowali. Janin pewnie już przeprowadził małe śledztwo.

— Możemy spokojnie porozmawiać — powiedział półgłosem. — Przyszedł za piętnaście jedenasta, jak każdego dnia.

— Właściciel zna jego nazwisko?

— Wie tylko, że nazywa się Pierrot, że jest muzykiem i prawdopodobnie mieszka gdzieś tu w okolicy. Do baru przychodzi codziennie za piętnaście jedenasta i wypija kawę. Prawie zawsze o jedenastej jest do niego telefon. Dzisiaj nikt nie zadzwonił. Czekał pół godziny i poszedł do automatu. Kiedy wyszedł, był jakby zatroskany. Postać jeszcze chwilę przy ladzie, potem zapłacił i wyszedł.

— Czy wiadomo, gdzie jada obiady?

— Właściciel podobno nie ma pojęcia. Czy jestem ci jeszcze potrzebny?

— Nie wiem. Na razie wyjdźmy.

Na ulicy Janvier obrzucił spojrzeniem okoliczne budynki, na niektórych zauważył szyldy hoteli, służących zapewne za domy schadzek.

Jeśli Pierrot miał zwyczaj wypijać swoją poranną kawę w tym małym barze, istniały duże szanse, że mieszka dwa kroki stąd.

— Rozejrzymy się?

Pierwszy hotel nazywał się „Hotel du Var”. W recepcji, na prawo od korytarza, siedziała stara kobieta.

— Pierrot jest u siebie?

Janin, którego niewątpliwie znała, starał się nie pokazywać zbyt, a Janvier był z całą pewnością człowiekiem najmniej wyglądającym na policjanta w całej policji francuskiej.

— Wyszedł niecałą godzinę temu.

— Jest pani pewna, że nie wrócił?

— Jestem pewna. Nie ruszyłam się stąd ani na chwilę. Zresztą jego klucz wisi na tablicy.

Janin zbliżył się o krok i wtedy dopiero go zauważyła.

— Ach, więc o to chodzi! Czego chcecie od tego chłopca?

— Proszę mi pokazać księgę meldunkową. Od kiedy tu mieszka?

— Od przeszło roku. Płaci za pokój co miesiąc.

Poszła po książkę, zaczęła ją przeglądać.

— O, proszę bardzo. Pan przecież wie, że my jesteśmy zawsze w porządku.

Pierrot nazywał się w rzeczywistości Pierre Eyraud, lat dwadzieścia dziewięć, urodzony w Paryżu.

— O której zwykle wraca?

— Czasami wczesnym popołudniem, ale nie zawsze.

— Czy zdarza mu się przyjmować u siebie kobietę?

— Jak wszystkim.

— Zawsze tę samą?

Nie zwlekała z odpowiedzią. Wiedziała, że jeśli nie będzie potulna, Janin znajdzie tysiąc okazji, żeby się do niej przyczepić.

— Pan też powinien ją znać. Kręciła się po tej dzielnicy dość długo. Nazywa się Lulu.

— A nazwisko?

— Nie wiem. Ja zawsze na nią mówiłam Lulu. Piękna dziewczyna. Zresztą szczęście się do niej uśmiechnęło. Teraz ma futra i w ogóle wszystko, przyjeżdża tu czasem taksówką.

— Widziała ją pani wczoraj? — zapytał Janvier.

— Nie, wczoraj nie, ale przedwczoraj. Przedwczoraj była niedziela, prawda? Przyjechała zaraz po dwunastej z jakimiś paczkami i zjedli obiad w pokoju. Potem poszli gdzieś, obejmowali się, pewnie do kina.

— Poproszę o klucz.

Wzruszyła ramionami. Opór nie zda się na nic.

— Postarajcie się tak przeszukać pokój, żeby tego nie zauważył. Potem będzie miał pretensję do mnie.

Janin został przezornie na dole, nie chciał dać staruszce możliwości uprzedzenia Pierre'a Eyraud o tym, co dzieje się w hotelu. Na pierwszym piętrze, gdzie znajdowały się pokoje wynajmowane na godziny albo na parę minut, wszystkie drzwi były otwarte. Wyżej mieszkali lokatorzy opłacający z góry za tydzień lub miesiąc, zza drzwi dochodziły różne odgłosy, mieszkał tu zapewne jeszcze jeden muzyk, gdyż słychać było dźwięki akordeonu.

Janvier wszedł do pokoju numer 53, którego okna wychodziły na podwórze. Stało tu żelazne łóżko, stary dywanik stracił już kolor i fason, podobnie jak kapa przykrywająca stół. Na toalecie leżała szczotka do zębów, tubka pasty, grzebień, pędzel i brzytwa do golenia. W kącie pokoju stała duża walizka, nie była zamknięta i najwidoczniej służyła jedynie do przechowywania brudnych rzeczy.

Janvier znalazł w szafie tylko jeden garnitur, parę starych spodni, szary filcowy kapelusz i czapkę z daszkiem. Na bieliznę osobistą Pierrota składało się kilka koszul, kilka par skarpetek i kalesony. Następna szuflada była pełna zeszytów do nut. Dopiero w nocnej szafce Janvier odkrył damskie pantofle ranne, a na drzwiach — szlafrok z krepdeszynu w łososiowym kolorze.

Kiedy schodził na dół, Janin wciąż prowadził rozmowę z właścicielką hotelu.

— Mamy adresy kilku restauracji, gdzie Pierrot zwykle jada obiady.

Janvier zanotował je dopiero na ulicy.

— Byłoby dobrze, gdybyś tu został — powiedział do Janina. — Pierrot przeczyta o tym, co stało się z jego przyjaciółką, jak tylko ukażą się popołudniowe gazety, jeśli już tego nie wie. Może wpadnie do hotelu?

— Myślisz, że to on?

— Szef nic mi nie mówił.

Janvier skierował się najpierw do włoskiej restauracji na bulwarze Rochechouart, spokojnej, wygodnej, gdzie unosił się zapach ziół. Dwie kelnerki ubrane w czarno-białe kostiumy przechodziły szybko od stolika do stolika, ale żadna z nich nie wiedziała niczego o Pierrocie.

— Nie widziała pani Pierre'a Eyraud?

— Tego muzyka? Nie. Nie przyszedł. Jaki dzisiaj mamy dzień? Wtorek? Zdziwiłabym się, gdyby przyszedł, to nie , jego dzień.

Drugim lokalem na liście była piwiarnia przy ulicy Barbès, i tam również nie widziano Pierrota.

Ostatnią szansą wydawała się restauracja kierowców, z pomalowaną na żółto fasadą i z menu wypisanym na ; deszczulce zawieszona przy wejściu. Właściciel stał za kontuarem i nalewał wino. Do stołu podawała tylko jedna kelnerka, wysoka i chuda, w kuchni można było dostrzec krzątającą się właścicielkę.

Janvier zbliżył się do baru i zamówił kufel piwa. Wszyscy tu obecni musieli się dobrze znać, gdyż spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

— Nie sprzedajemy piwa na kufle — powiedział właściciel. — Może by się pan napił kieliszek beaujolais?

Jamder skinął twierdząco głową i po chwili zapytał:

— Pierrot nie przyszedł?

— Ten muzyk?

— Tak. Umówił się tu ze mną piętnaście po dwunastej.

Była za piętnaście pierwsza.

— Gdyby pan przyszedł piętnaście po dwunastej, spotkałby go pan.

Rozmówca Janvier odpowiadał na jego pytania z całym zaufaniem i naturalnością.

— Nie poczekał na mnie?

— Nawet nie skończył obiadu.

— Ktoś przyszedł po niego?

— Nie. Wstał nagle i wyszedł mówiąc, że się spieszy.

— O której to było?

— Mniej więcej kwadrans temu.

Janvier, który przypatrywał się kolejno wszystkim stolikom, zauważył, że dwóch klientów czyta przy jedzeniu gazetę. Z jednego stolika przy oknie nie uprzątnięto jeszcze nakrycia, a obok talerza z resztkami potrawy cielejącej rozłożone było to właśnie popołudniowe wydanie.

— Tutaj siedział?

— Tak.

Janvier musiał przemierzyć w deszczu tylko dwieście metrów, by dojść do Janina stojącego na warcie przy ulicy Ricquet.

— Nie wrócił?

— Nikogo nie widziałem.

— Niecałe pół godziny temu siedział w pewnej niewielkiej restauracji. Kupił gazetę u ulicznego sprzedawcy i jak tylko rzucił okiem na pierwszą stronę, szybko wyszedł. Lepiej zadzwonię do szefa.

Na biurku Maigreta w jego gabinecie przy Quai des Orfèvres stała taca z dwiema olbrzymich rozmiarów kanapkami i dwa kufle piwa. Komisarz wysłuchał raportu Janviera.

— Postaraj się dowiedzieć, jak nazywa się ta restauracja z danciem, gdzie on pracuje. Prawdopodobnie powie ci to ta staruszka w recepcji. To pewnie jest gdzieś w tej dzielnicy. A Janin niech dalej pilnuje wejścia.

Maigret nie mylił się. Właścicielka hotelu znała nazwę restauracji. Ona także przeczytała wiadomość w gazecie, ale nie skojarzyła Luizy Filon, o której pisano w notatce, z dziewczyną zwaną Lulu, którą znała. W pierwszej wersji notatka prasowa była zresztą dość zwięzła:

„Dziś rano w mieszkaniu przy avenue Carnot sprzątaczką odkryła zwłoki niejakiej Luizy Filon. Jak ustalono, denatka nigdzie nie pracowała. Została ona zabita prawdopodobnie wieczorem kulą z rewolweru wystrzeloną z bardzo bliska. Według wstępnych oględzin, przyczyną zbrodni nie był rabunek. Dochodzeniem zajął się osobiście komisarz Maigret i wolno nam chyba przypuszczać, że śledztwo jest już na właściwym tropie”.

Pierrot pracował w „Grelot”, restauracji z danciem na ulicy Charbonniere, koło bulwaru de la Chapelle. Ciągle jeszcze w granicach tej samej dzielnicy, ale ta jej część miała mocno zaszarganą opinię. Już idąc bulwarem de la Chapelle Janvier napotykał Arabów wąsających się w deszczu 7 taką miną, jakby nie mieli nic do roboty. Mijał też sporo mężczyzn innych ras, a także wiele kobiet, które wbrew przepisom w środku dnia oczekiwały na klientów w bramach hoteli.

Wejście do restauracji „Grelot” pomalowano na kolor lilaróż; gdy zapadał zmierzch, oświetlenie nadawało lokalowi prawdopodobnie ten sam kolor. O tej porze na sali siedział jedynie właściciel, jadł obiad w towarzystwie kobiety w średnim wieku, może żony. Spojrzał na wchodzącego Janviera i ten zrozumiał, że mężczyzna przy stole natychmiast odgadł jego zawód.

— O co chodzi? Otwieramy dopiero o piątej.

Janvier pokazał swój znaczek, mężczyzna ani drgnął. Miał krótką i przysadzistą sylwetkę, nos i uszy jak u byłego boksera.

Nad parkietem wznosił się rodzaj galeryjki, muzycy z pewnością wchodzili tam po drabince.

— Słucham pana.

— Nie ma Pierrota?

Mężczyzna rozejrzał się po pustej sali i powiedział tylko:

— Widzi go pan tu?

— W ogóle go dzisiaj nie było?

— Zaczyna pracę dopiero o siódmej wieczorem. Czasami wpada koło czwartej–piątej na partię belotki.

— A wczoraj pracował?

Janvier zorientował się, że coś jest na rzeczy, bo mężczyzna i kobieta porozumieli się wzrokiem.

— Co on takiego zrobił?

— Być może nic. Mam do niego parę pytań, to wszystko.

— Na jaki temat? Dlaczego?

Inspektor postanowił zaryzykować.

— Dlatego, że Lulu nie żyje.

— Co pan za głupstwa opowiada?!

Był rzeczywiście zdziwiony. Janvier nie dostrzegł zresztą w pobliżu żadnej gazety.

— Od kiedy?

— Zmarła wczoraj w nocy.

— Co się stało?

— Pan ją znał?

— W swoim czasie była stałą bywalczynią. Przychodziła tu prawie co wieczór. To znaczy, dwa lata temu.

— A teraz?

— Wpadała nieraz napić się czegoś i posłuchać muzyki.

— O której Pierrot wyszedł wczoraj wieczorem?

— Kto panu powiedział, że wychodził?

— Konsjerżka budynku przy avenue Carnot, która go dobrze zna, widziała, jak wchodził tam i w godzinę później wychodził.

Szef lokalu milczał dłuższą chwilę, zastanawiając się, jaką ma obrać taktykę. On też był na łasce i niełasce policji

— Niech pan mi najpierw powie, co stało się z Lulu?

— Ktoś ją zamordował.

— Na pewno nie Pierrot! — zareplikował tamten natychmiast z całą stanowczością w głosie.

— Ja wcale nie twierdzę, że Pierrot.

— To czego pan od niego chce?

— Chcę otrzymać pewne informacje. Pan sugeruje, że wczoraj wieczorem Pierrot był w pracy?

— Niczego nie sugeruję. Taka jest prawda. O siódmej wieczorem siedział tam i grał na saksofonie

Wzrokiem wskazywał wiszącą galeryjkę.

— Ale koło dziewiątej wyszedł?

— Poproszono go do telefonu. Było dwadzieścia po dziewiątej.

— Lulu?

— Nie mam pojęcia. To bardzo prawdopodobne.

— Tak, Lulu — odezwała się kobieta. — Stałam blisko aparatu.

Aparat nie znajdował się w kabinie, był zainstalowany we wnęce obok toalety.

— Powiedział do niej: „Zaraz przychodzę”. Odwrócił się w moją stronę: „Melanio, muszę tam pojechać”. Spytałam: „Coś się stało?” Odpowiedział: „Tak jakby”. I wszedł na górę umówić się z muzykami, a potem wybiegł szybko.

— O której wrócił?

Teraz z kolei odpowiadał mężczyzna:

— Przed dwunastą.

— Czy wydawał się czymś przejęty?

— Nie zauważyłem. Przeprosił za nieobecność i usiadł na swoim miejscu. Grał do pierwszej w nocy. Potem jak zwykle został z nami i wypiliśmy po kieliszku. Gdyby wiedział, że Lulu nie żyje, nie byłby taki spokojny. Szalał na jej punkcie. I to nie od wczoraj. Sto razy mu powtarzałem : „Pierrot, chłopcze, źle robisz! Kobiety są niewiele warte i trzeba je ostro traktować”.

Jego towarzyszką przerwała mu sucho:

— Bardzo ci dziękuję!

— Ty to co innego.

— A Lulu też była w nim zakochana?

— Oczywiście.

— Nie miała nikogo innego?

— Wie pan, tego apartamentu na Etoile nie mógł jej opłacać byle saksofonista.

— Czy pan wie, kto to jest?

— Nigdy mi o nim nie mówili, ani Lulu, ani Pierrot. Wiem tylko, że jej życie zmieniło się po tej operacji

— Jakiej operacji?

— Dwa lata temu bardzo chorowała. Mieszkała wtedy tu w pobliżu.

— Zarabiała na ulicy? Mężczyzna wzruszył ramionami.

— A co one wszystkie tu robią, jak pan myśli?

— Proszę mówić dalej.

— Zabrali ją do szpitala i kiedy Pierrot poszedł ją odwiedzić, powiedzieli mu, że sprawa jest beznadziejna. Miała coś z głową, ale nie wiem dokładnie. Po dwóch dniach przenieśli ją do innego szpitala, na lewym brzegu.

— Zrobili jej jakąś tam operację i w parę tygodni była zdrowa. Ale już tu nie wróciła, chyba że w odwiedzinach.

— Czy od razu zamieszkała na avenue Carnot?

— Może ty pamiętasz? — właściciel zwrócił się do żony.

— Pamiętam. Najpierw wynajmowała mieszkanie na ulicy La Fayette.

Kiedy koło godziny trzeciej Janvier wrócił ha Quai des Orfèvres, wiedział niewiele więcej. Maigret nadal siedział w swoim biurze z podwiniętymi rękawami koszuli, gdyż w pokoju było bardzo gorąco. Powietrze wydawało się niebieskie od dymu fajki.

— Siadaj i mów, co nowego.

Janvier streścił pokrótce, co robił i czego się dowiedział.

— Wydałem polecenie, żeby pilnowano dworców — powiedział mu komisarz. — Jak dotąd, Pierrot nie próbował wyjechać pociągiem.

Pokazał Janvierowi kartę policyjną z fotografią en face i z profilu mężczyzny, który wyglądał na dużo mniej niż trzydzieści lat.

— To on?

— Tak. Po raz pierwszy został zatrzymany w wieku lat dwudziestu za pobicie i spowodowanie obrażeń ciała w trakcie awantury w pewnym barze na ulicy de Flandre. Potem, w półtora roku później, występował jako podejrzany w sprawie obrabowania klienta przez jakąś prostytutkę, z którą żył, ale nie udowodniono mu niczego. Gdy miał dwadzieścia cztery lata, został zatrzymany po raz ostatni za włóczęgostwo. W tym okresie nie pracował, utrzymywał się z zarobków prostytutki, niejakiej Ernestyny. Od tej pory nic. Wysłałem jego rysopis do wszystkich komisariatów. Czy Janin stale obserwuje hotel?

— Owszem. Wydawało mi się, że tak będzie ostrożniej.

— Słusznie. Nie przypuszczam, żeby Pierrot miał zamiar tam wrócić, w każdym razie jeszcze nie teraz, ale nie możemy ryzykować. Jest tylko taka sprawa: Janin będzie mi potrzebny. Wyślę Lapointe'a, żeby go zmienił. Widzisz, zdziwiłbym się, gdyby Pierrot próbował wyjechać z Paryża. Całe życie spędził w tej dzielnicy, zna tu każdy kąt i tutaj łatwo

mu się ukryć. A przecież z nas wszystkich Janin czuje się najbardziej zadowolony w tych uliczkach. Zadzwoń po Lapointe'a.

Lapointe wysłuchał instrukcji i wybiegł z pokoju z takim zapałem, jakby całe śledztwo zależało teraz od niego.

— Mam też dossier Luizy Pilon. Między piętnastym a dwudziestym czwartym rokiem życia setki razy była wyłapywana przez nasze budy przeczesujące dzielnicę, przetrzymywana w komisariacie, przesłuchiwana, badana; na ogół wypuszczano ją po kilku dniach. To wszystko — westchnął Maigret stukając fajką o obcas. — Czy też raczej... to absolutnie nie jest wszystko, ale reszta gubi się w domysłach.

Być może mówił do siebie, chcąc uporządkować myśli, Janvierowi pochlebiał jednak fakt, że uczestniczy w głośnych rozmyślaniach komisarza.

— Istnieje gdzieś mężczyzna, który umieścił Lulu przy avenue Carnot. Dziś rano, kiedy znalazłem taką właśnie dziewczynę w takim domu, coś mnie tknęło. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Tak.

Utrzymanki nie mają zwyczaju mieszkać w tego typu budynkach. Nie wybierają sobie takich dzielnic. Dom przy avenue Carnot aż ociekał bogatym i szanowanym mieszczaństwem i fakt, że właścicielka czy administrator zgodził się wynająć mieszkanie tego typu dziewczynie, był zadziwiający.

— Najpierw pomyślałem sobie, że jeśli jej kochanek urządził ją właśnie tutaj, to dlatego, żeby mieć ją w pobliżu. A wiemy, o ile konsjerżka nie kłamie, że Lulu nie przyjmowała u siebie nikogo poza Pierrotem. Nie miała też stałych dni, kiedy wychodziła, zdarzało się jej zostawać w domu przez cały tydzień.

— Zaczynam rozumieć.

— Co pan zaczyna rozumieć?

— Sam nie wiem — musiał przyznać Janvier czerwieniąc się.

— Ja także nie wiem. To wszystko są tylko przypuszczenia. Męskie pantofle i szlafrok wiszący w szafie z pewnością nie należą do saksofonisty. W sklepie z bielizną na ulicy de Rivoli nie umieją powiedzieć, kto kupił ten szlafrok. Mają setki klientów i nie notują nazwisk kupujących za gotówkę. Jeśli chodzi o szewca, straszny z niego, notabene, oryginał, to twierdzi on, jakoby nie miał czasu przejrzeć swoich ksiąg i obiecuje zrobić to w najbliższym czasie. Tak czy inaczej, jakiś mężczyzna, a nie był nim Pierrot, odwiedzał regularnie Luizę Filon i utrzymywał z nią kontakty na tyle bliskie, że pozwalały mu one przebierać się w szlafrok i kapcie. Jeżeli konsjerżka nigdy go nie widziała...

— To znaczy, że mieszka w tym samym domu?

— To najbardziej logiczne wytłumaczenie.

— Ma pan listę lokatorów?

— Lucas podyktował mi ją przed chwilą przez telefon. Janvier zastanawiał się w myśli, skąd u szefa ta niezadowolona mina, jakby coś mu się w tej historii nie podobało.

— To, co powiedziałeś mi o chorobie Lulu i o jej operacji, może być pewną wskazówką, a wówczas...

Wolno zapalił fajkę i pochylił się nad listą nazwisk leżącą na biurku.

— Wiesz, kto mieszka piętro wyżej nad mieszkaniem Luizy? Profesor Gouin, chirurg, i traf chce, że jest to najbardziej znany specjalista od operacji mózgu.

Reakcja Janviera była natychmiastowa:

— Żonaty?

— Oczywiście. Mieszka razem z żoną.

— Co pan teraz robi?

— Najpierw porozmawiam z konsjerżką. Nawet jeśli nie kłamała w dzisiejszej rozmowie ze mną, z pewnością nie powiedziała całej prawdy. Może też warto jeszcze raz pogadać z naszą dzielną Désirée Brault. Z nią było prawdopodobnie tak samo.

— A co ja mam robić?

— Zostaniesz tutaj. Kiedy zadzwoni Janin, zlecisz mu, żeby zaczął szukać Pierrota po całej dzielnicy. Przekaż mu fotografię.

Gdy Maigret przejeżdżał ulicami służbowym samochodem, była piąta i miasto ogarnął już zmrok. Dzisiaj rano, kiedy jego żona obserwowała przez okno, jak są ubrani ludzie, przyszło mu na myśl dziwne skojarzenie. Stwierdził w duchu, że dzień ten dokładnie odpowiada wyobrażeniu, jakie ma się zwykle o „dniu roboczym”. Te dwa słowa kołatały mu w głowie właściwie bez powodu, natrętne jak refren piosenki. Trudno sobie wyobrazić, żeby w taki dzień ludzie mogli wychodzić dla przyjemności czy żeby w ogóle coś sprawiało im przyjemność, w taki dzień jak najszybciej wykonywało się swoje obowiązki i wracało do domu brnąć po kostki w błocie, a wszędzie dokoła, przy wejściach do metra, w sklepach, biurach, czuło się szarą, wilgotną mgłę.

Komisarz Maigret także pracował tego dnia bez entuzjazmu. W jego biurze było nieznośnie gorąco. Maigret niechętnie pojechał raz jeszcze na avenue Carnot. Wysoka kamienica wydała mu się i tym razem wyjątkowo nieatrakcyjna. Lucas tkwił nadal dzielnie na posterunku w mieszkaniu na trzecim piętrze, Maigret mógł z dołu zauważyć, jak odsuwa ręką firankę i smętnym wzrokiem spogląda na ulicę.

Konsjerżką cerowała bieliznę siedząc przy okrągłym stole w swojej dyżurce, w okularach wyglądała dużo starzej. Tutaj także było ciepło, w pokoju panował spokój podkreślany regularnym tykaniem starego zegara i dochodzącym z kuchni szumem piecyka gazowego.

— Proszę, niech pani sobie nie przeszkadza. Chciałbym tylko chwilę z panią porozmawiać.

— Czy to na pewno morderstwo? — zapytała konsjerżka, podczas gdy Maigret zdejmował płaszcz i siadał naprzeciwko niej, jakby czuł się tutaj zadomowiony.

— Chyba że ktoś po jej śmierci zabrał rewolwer, co wydaje się nieprawdopodobne. Sprzątaczką była sama w mieszkaniu tylko kilka minut, a przed jej odejściem sprawdziłem, czy niczego z sobą nie zabiera. Oczywiście nie rewidowałem jej dokładnie. Co pani ma na myśli?

— Ja? Nic takiego. Myślę cały czas o tej biednej dziewczynie.

— Czy jest pani pewna, że dziś rano powiedziała mi pani wszystko, co pani wiadomo o tej sprawie?

Zauważył, że się zaczerwieniła i pochyliła nad swoją robótką. Uplętnęło parę sekund, zanim spytała:

— A dlaczego pana to interesuje?

— Bo wydaje mi się, że zna pani człowieka, który załatwił Luizie Filon mieszkanie w tej kamienicy. Czy to pani się z nią umawiała w sprawie wynajmu?

— Nie, administrator.

— Spotkam się z nim, na pewno będzie wiedział coś więcej. A teraz pójdę na czwarte piętro, muszę zebrać pewne informacje.

Konsjerżka uniosła głowę gwałtownym gestem.

— Na czwarte piętro?

— To tam mieszka profesor Gouin i jego żona, prawda? O ile wiem, zajmują całe piętro?

— Tak.

Opanowała się już. Maigret ciągnął dalej:

— Chciałbym się od nich dowiedzieć, czy wczoraj wieczór niczego nie słyszeli. Byli u siebie?

— Pani Gouin była w domu.

— Przez cały dzień?

— Tak. Odwiedziła ją siostra i została u niej do wpół do dwunastej.

— A profesor?

— Wyszedł do szpitala koło ósmej.

— O której wrócił?

— Mniej więcej piętnaście po jedenastej. Niedługo przed wyjściem swojej szwagierki.

— Czy profesor często wychodzi wieczorem do szpitala?

— Dosyć rzadko, tylko w nagłych wypadkach.

— Jest teraz u siebie? ,

~ Nie. Prawie nigdy nie wraca przed obiadem. Co prawda ma tutaj gabinet, ale poza wyjątkowymi wypadkami nie przyjmuje prywatnie.

— Pójdę porozmawiać z jego żoną.

Nie zareagowała, kiedy wstał i zbliżył się do krzesła, gdzie zostawił swój płaszcz. Już miał otworzyć drzwi, gdy usłyszał, jak powiedziała ledwie dosłyszalnym głosem:

— Proszę pana!

Właściwie spodziewał się tego, odwrócił się w jej stronę z lekkim uśmiechem. KONSJERŻKA wyraźnie nie mogła znaleźć słów i patrzyła na niego z niemal błagalnym wyrazem twarzy. Komisarz zdecydował się:

— To on?

Nie zrozumiała go.

— Nie chce pan chyba powiedzieć, że to profesor jest podejrzany o...

— Ależ nie, nie to mam na myśli. Chodzi mi o to, i jestem tego właściwie pewny, że to profesor Gouin urządził Luizę Filon w tej kamienicy.

Skinęła potakująco głową, z żalem.

— Dlaczego mi pani o tym nie powiedziała?

— Bo pan o to nie pytał.

— Pytałem panią, czy zna pani człowieka, który...

— Nie. Pytał mnie pan, czy widziałam, że ktoś poza muzykiem wchodził na trzecie piętro.

Dyskusja była bezcelowa.

— Czy profesor prosił panią o dyskrecję?

— Nie. Nie zależy mu na tym.

— Skąd może pani wiedzieć?

— Wiem. On się z tym nie kryje.

— No to dlaczego mi pani nie powiedziała...

— Sama nie wiem. Pomyślałam sobie, że nie trzeba go bez powodu mieszać do tej sprawy. Uratował życie mojemu synowi. Zoperował go za darmo i opiekował się nim przez ponad dwa lata.

— Gdzie obecnie jest pani syn?

— Służy w wojsku. W Wietnamie.

— Czy pani Gouin wie o wszystkim?

— Tak. Nie jest zazdrosna. Przyzwyczała się.

— Tak więc cały dom wie, że Lulu to kochanka profesora?

— Jeśli ktoś nie wie, to znaczy, że naprawdę nie chce wiedzieć. W tym domu lokatorzy mało interesują się swoimi sąsiadami. Profesorowi często zdarzało się schodzić na trzecie piętro w piżamie i szlafroku.

— Co to za człowiek?

— Pan go nie zna?

Patrzyła na Maigreta z zawiedzioną miną. Komisarz często widywał zdjęcia Gouina w gazetach, ale nigdy nie miał okazji spotkać go osobiście.

— Ma coś około sześćdziesiątki, prawda?

— Sześćdziesiąt dwa. Nie wygląda na tyle. Zresztą u takich mężczyzn jak on wiek nie ma znaczenia.

Maigret zachował w pamięci niejasny obraz mężczyzny o potężnej głowie, wydatnym nosie, silnie zarysowanej brodzie. Zdjęcia ukazywały jednak także obwisłe policzki i worki pod oczami. Zabawne było słuchać, jak konsjerżka mówi o tym człowieku z entuzjazmem młodziutkiej studentki Konserwatorium opowiadającej o swoim profesorze.

— Nie wie pani, czy widział się z nią wczoraj wieczorem przed wyjściem do szpitala?

— Już panu mówiłam, była dopiero ósma, jak wychodził, a później przyszedł ten młody człowiek.

Myślała tylko o tym, żeby trzymać Gouina jak najdalej od całej sprawy.

— A po przyjeździe ze szpitala?

I teraz wyraźnie szukała możliwie najzręczniejszej odpowiedzi.

— Na pewno nie.

— Skąd ta pewność?

— Szwagierka profesora Gouina wyszła parę minut po jego powrocie.

— Myśli pani, że widział się ze swoją szwagierką?

— Wydaje mi się, że czekała na niego, żeby wyjść.

— Pani zażarcie broni profesora.

— Mówię tylko prawdę.

— Skoro pani Gouin wie o wszystkim, nie ma powodu, żebym nie mógł z nią porozmawiać.

— Sądzi pan, że to będzie delikatne z pana strony?

— Chyba nie, ma pani rację. Skierował się jednak w stronę drzwi.

— Dokąd pan idzie?

— Na górę. Zostawię uchylone drzwi od mieszkania Luizy i kiedy profesor będzie wracał, poproszę go o chwilę rozmowy.

— Jeśli panu tak na tym zależy...

— Dziękuję pani.

Polubił ją. Zamknął drzwi i odwrócił się, by popatrzeć na nią przez szybę. Wstała natychmiast z krzesła, a gdy zauważyła komisarza, wydawała się speszona, że nieopatrznie zrobiła to tak szybko. Poszła w stronę kuchni, jakby czekało tam na nią pilne zajęcie, ale Maigret był przekonany, że to nie do kuchni się spieszyła, lecz do telefonu, który znajdował się na stoliku przy oknie.

ROZDZIAŁ TRZECI

— Gdzie to znalazłeś? — spytał Maigret Lucasa.

— Na najwyższej półce w kuchennej szafce.

Było to białe kartonowe pudło na buty, obok leżała czerwona wstążka, która je opasywała, gdy Lucas na nie natrafił. Jego zawartość przypominała Maigretowi inne tego typu „skarby”, komisarzowi często zdarzało się je widzieć w wielu domach na wsi lub w biednych rodzinach, akt ślubu, kilka pożółkłych listów, czasami kwit z lombardu, wszystko to można było znaleźć nie tylko w takim pudle, ale na przykład w wazie od pięknego serwisu albo w kompotierze.

Skarb Luizy Filon niewiele różnił się od innych. Nie znaleźli tam aktu ślubu, przeczytali natomiast metrykę urodzenia wydaną przez merostwo osiemnastej dzielnicy, stwierdzającą, że niejaka Luiza Maria Józefina Filon urodziła się w Paryżu z ojca Ludwika Filon, z zawodu rzeźnika, zamieszkałego przy ulicy de Cambrai, obok rzeźni de la Villette, i matki Filipiny le Flem, z zawodu praczki.

To właśnie prawdopodobnie jej zdjęcie, zrobione przez miejscowego fotografa, znajdowało się w pudełku znalezionym przez Lucasa. Tło, jak zwykle na tego typu zdjęciach, stanowił park z jakąś balustradą na pierwszym planie. Kobieta w wieku około trzydziestu lat nie była widocznie w stanie uśmiechnąć się na dany przez fotografa znak i patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem.

Z pewnością miała jeszcze inne dzieci prócz Luizy, jej ciało było już zniszczone, sukienka ciasno opinała obwisłe piersi.

Asystent Maigreta usiadł ponownie w fotelu. Komisarz nie mógł powstrzymać uśmiechu dostrzegając obok popielniczki z tłącym się papierosem otwartą w połowie książkę, jedną z popularnych powieści znajdujących się w biblioteczce Lulu, na którą Lucas z nudów trafił przed jego przyjściem.

— Ona już nie żyje — powiedział Lucas wskazując na zdjęcie. — Umarła siedem lat temu.

Wyciągnął w stronę szefa gazetowy wycinek z nekrologami, gdzie wymieniono osoby zmarłe tego dnia, a wśród nich niejaką Filipinę Filon, z domu le Flem.

Maigret zostawił wpółotwarte drzwi i teraz nasłuchiwał odgłosu zamykanej windy. Ale winda jechała tylko jeden raz i zatrzymała się na drugim piętrze.

— A jej ojciec?

— Jest tylko ten list.

List napisany był zwykłym ołówkiem na tanim papierze, a pismo wskazywało na osobę mało wykształconą.

„Moja kochana Luizo, piszę do ciebie, bo chcę cię zawiadomić, że znowu jestem w szpitalu i że jestem bardzo nieszczęśliwy. Zlituj się i wyślij mi trochę pieniędzy, żebym mógł sobie kupić tytoń. Oni tu uważają, że jedzenie mi szkodzi, i ciągle mnie głodzą. Wysyłam ten list do baru, bo ktoś stąd mi powiedział, że cię tam widział. Na pewno cię tam znają. Ja już długo nie pociągnę. Twój ojciec”.

W nagłówku widniała nazwa jakiegoś szpitala w Beziers w okręgu Herault. Żadna data nie pozwalała stwierdzić, kiedy list został napisany, prawdopodobnie dwa czy trzy lata temu, jeśli sądzić po pożółkłym papierze.

Czy Luiza Filon dostawała jakieś inne listy? Dlaczego zachowała właśnie ten? Czy jej ojciec zmarł niedługo potem i dlatego zachowała ostatnią prawdopodobnie wiadomość od niego?

— Dowiesz się wszystkiego w Beziers.

— Dobrze, szefie.

Maigret nie znalazł żadnych innych listów, obejrzał tylko fotografie, większość z nich z jakichś jarmarków, niektóre przedstawiały Luizę samą, inne — w towarzystwie Pierrota. Były tam także zdjęcia Luizy do dokumentów zrobione w automacie.

Resztę skarbu Luizy Filon stanowiły najrozmaitsze drobne przedmioty, które zazwyczaj wygrywa się na jarmarcznych strzelnicach, fajansowy piesek, popielniczka, słoń z dymnego szkła, a nawet papierowe kwiaty.

Odnalezienie podobnych bibelotów w jakimś domu przy ulicy Barbes czy na bulwarze de la Chapelle byłoby rzeczą normalną. Tutaj, w apartamencie przy avenue Carnot, to kartonowe pudło na buty wydawało się czymś niemal tragicznym.

— Nic więcej?

Lucas już miał odpowiedzieć na pytanie komisarza, gdy nagle rozległ się dzwonek telefonu, który poderwał ich obu na równe nogi.

Maigret pospiesznie podniósł słuchawkę.

— Halo!

— Czy zastałam pana Maigret?

— Jestem przy telefonie.

— Przepraszam, że panu przeszkadzam, panie komisarzu. Dzwoniłam do pańskiego biura i powiedziano mi, że jest pan prawdopodobnie w tym mieszkaniu. Mówi żona profesora Gouin.

— Słucham panią.

— Czy mogłabym zejść na chwilę i porozmawiać z panem?

— A może będzie prościej, jeśli ja wejdę do pani? Odpowiedziała ciągle tym samym stanowczym głosem:

— Wolałabym zejść, żeby mój mąż nie zastał pana u nas, gdy wróci ze szpitala.

— Jak pani sobie życzy.

— Zaraz tam będę.

Maigret zdążył jeszcze powiedzieć cicho do Lucasa:

— Żona profesora Gouin, mieszka piętro wyżej.

W kilka minut później usłyszeli czyjeś kroki na schodach, potem ktoś zamknął drzwi wejściowe, które Maigret pozostawił otwarte. Następnie rozległo się pukanie i inspektor zbliżył się do drzwi mówiąc:

— Proszę, niech pani wejdzie.

Pani Gouin uczyniła to w sposób naturalny, jakby wchodziła do jakiegokolwiek innego mieszkania, nie rzuciła nawet okiem na pokój Luizy, jej wzrok zatrzymał się od razu na osobie komisarza.

— Pani pozwoli, mój asystent Lucas. Proszę, może pani usiądzie.

— Dziękuję.

Była wysoka, dość silnie zbudowana, ale nie tęga. Profesor miał sześćdziesiąt dwa lata, jego żona prawdopodobnie czterdzieści pięć, w każdym razie nie wyglądała na więcej.

— Myślę, że się pan spodziewał mojego telefonu? — zapytała z ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

— To dozorczyńni panią uprzedziła?

Wahała się przez chwilę nie spuszczać z niego wzroku i uśmiech na jej twarzy stał się teraz bardziej widoczny.

— Owszem. Dzwoniła do mnie przed chwilą.

— Więc wiedziała pani, że tu jestem. W takim razie, jeśli dzwoniła pani do mnie do biura, to tylko ,po to, by pani postępowanie mogło się wydać naturalne i spontaniczne.

Zaczerwieniła się nieznacznie, nie straciła jednak ani na chwilę pewności siebie.

— Powinam przewidzieć, że pan się tego domyśli. Ale niech mi pan wierzy, szukałabym z panem kontaktu tak czy inaczej. Od rana, kiedy tylko dowiedziałam się, co się tutaj wydarzyło, chciałam z panem porozmawiać.

— Dlaczego pani tego nie zrobiła?

— Być może dlatego, że wołałabym, aby mój mąż nie był zamieszany w tę historię.

Maigret nie spuszczał z niej oka. Zauważył, że ani przez moment nie obrzuciła spojrzeniem pokoju, gdzie się znajdowali, nie wykazała żadnej ciekawości.

— Kiedy po raz ostatni była pani w tym pokoju?

Jej policzki znowu lekko się zaczerwieniły, ale nadal świetnie grała swoją rolę.

— To także pan wie? Przecież nikt nie mógł tego panu powiedzieć, nawet pani Cornet.

Zastanawiała się przez chwilę, ale szybko znalazła odpowiedź na swoje własne pytanie.

— Zapewne nie zachowałam się jak ktoś, kto wchodzi po raz pierwszy do czyjegoś mieszkania, a zwłaszcza do mieszkania, w którym popełniono zbrodnię?

Lucas siedział teraz na kanapie; niemal w tym samym miejscu znaleziono tego ranka ciało Luizy Filon. Pani Gouin usadowiła się w fotelu.

Maigret stał oparty plecami o kominek, gdzie leżały tylko sztuczne polana.

— Zresztą to nieważne, zaraz panu wszystko wytłumaczę. Siedem albo osiem miesięcy temu osoba, która tu mieszkała, zadzwoniła do mnie w nocy i przerażona prosiła o pomoc, gdyż mężowi zrobiło się słabo i zemdlął.

— Czy znajdował się w sypialni, gdy pani tu weszła?

— Tak. Udzieliłam mu pierwszej pomocy.

— Czy pani studiowała medycynę?

— Przed wyjściem za mąż byłam pielęgniarką.

Maigret od samego początku nie mógł odgadnąć, z jakiego środowiska pochodzi pani Gouin. Teraz rozumiał, na czym polegała jej pewność siebie.

— Proszę mówić dalej.

— To już prawie wszystko. Chciałam zadzwonić do naszego przyjaciela lekarza, gdy Etienne odzyskał przytomność i zabronił mi wzywać kogokolwiek.

— Czy był zaskoczony, że zastał panią przy łóżku?

— Nie. Zawsze mówił mi o wszystkim. Niczego przede mną nie ukrywał. Tamtej nocy poszedł ze mną na górę i zasnął spokojnie.

— Czy to był pierwszy taki atak?

— Trzy lata temu miał podobną historię, ale o znacznie łagodniejszym przebiegu.

Zachowywała w dalszym ciągu spokój i opanowanie, można było ją sobie wyobrazić w stroju pielęgniarki u łóżka chorego. Najbardziej zdziwiony był Lucas, który nie znał całości sprawy i nie rozumiał, jak w ogóle kobieta może równie spokojnie mówić o kochance swojego męża.

— Dlaczego — zapytał Maigret — chciała pani ze mną dzisiaj rozmawiać?

— Konsjerżka poinformowała mnie, że ma pan zamiar spotkać się z moim mężem. Zastanawiałam się, czy nie byłoby możliwe uniknięcie tego, czy rozmowa ze mną nie dostarczyłaby panu tych samych wiadomości. Czy pan zna profesora Gouin?

— Tylko ze słyszenia.

— To wyjątkowy człowiek, w każdym pokoleniu jest zaledwie kilku takich.

Komisarz przytaknął ruchem głowy.

— Poświęca całe życie swojej pracy, to jego prawdziwe powołanie. Oprócz wykładów i zajęć w szpitalu Cochin zdarza mu się odbyć trzy lub cztery operacje dziennie, a jak panu zapewne wiadomo, są to operacje niezwykle delikatne. Więc chyba nic dziwnego, że staram się odsunąć od niego wszelkie troski?

— Czy od momentu, gdy Luiza Filon została zabita, widziała pani męża?

— Wrócił do domu na obiad. Rano, kiedy wychodził, słychać było jakieś hałasy dochodzące z tego mieszkania, ale o niczym jeszcze nie wiedzieliśmy.

— Jak zachowywał się w południe?

— Był to dla niego silny cios.

— Kochał ją?

Pani Gouin patrzyła przez chwilę na Maigreta nie odpowiadając. Potem rzuciła szybkie spojrzenie na Lucasa, którego obecność jakby ją drażniła.

— Myślę, panie komisarzu, z tego, co o panu wiem, że jest pan człowiekiem zdolnym do zrozumienia pewnych rzeczy. I właśnie dlatego, że inni by ich nie zrozumieli, chciałabym uniknąć rozgłosu. Profesor należy do ludzi, których plotki nie powinny dotyczyć, a jego działalność zawodowa jest zbyt cenna i ważna dla wszystkich, by ją ograniczać przez niepotrzebne kłopoty.

Komisarz mimo woli rzucił ukradkowe spojrzenie na miejsce, gdzie jeszcze dziś rano leżały zwłoki Lulu, był to jakby jego komentarz do słów „niepotrzebne kłopoty”.

— Jeśli pan pozwoli, spróbuję krótko opisać jego charakter.

— Bardzo proszę.

— Jak panu zapewne wiadomo, profesor urodził się w ubogiej chłopskiej rodzinie w Sewennach.

— Wiem tylko, że pochodzi ze środowiska chłopskiego.

— Stał się tym, kim jest obecnie, wyłącznie dzięki silnej woli. Można by powiedzieć bez żadnej przesady, że nigdy nie był dzieckiem ani młodzieńcem. Czy rozumie pan, co mam na myśli?

— Świetnie to rozumiem.

— On jest jak siła natury. Chociaż jestem jego żoną, mogę sobie pozwolić na stwierdzenie, że ten mężczyzna to geniusz, gdyż inni stwierdzili to już przede mną i utrzymują tak nadal.

Maigret ciągle potakiwał.

— Większość ludzi ma dziwny stosunek do geniuszów. Uważają za rzecz normalną fakt, że takie jednostki różnią się od innych, jeśli chodzi o ich inteligencję czy aktywność zawodową. Żadnego pacjenta nie dziwi na przykład to, że Gouin wstaje o drugiej w nocy, by przystąpić do operacji, którą on jedynie jest w stanie zrobić, a punktualnie o dziewiątej zjawia się w szpitalu i bada swoich chorych. A jednocześnie ci sami chorzy byliby z pewnością zadziwieni i oburzeni, gdyby się dowiedzieli, że także i w innych sprawach Gouin różni się od nich.

Maigret domyślał się dalszego ciągu, ale wołał, by sama skończyła swą myśl. Pani Gouin mówiła ze zwykłym sobie spokojem, który udzielał się otoczeniu.

— Nigdy nie zajmowały go drobne życiowe przyjemności. Właściwie nie ma przyjaciół. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz był na urlopie. Jego żywotność i energia są zadziwiające. I zawsze jedynym sposobem na odprężenie się były dla niego kobiety.

Rzuciła szybkie spojrzenie na Lucasa i znowu zwróciła się do Maigreta.

— Mam nadzieję, że nie szokuje to pana.

— Absolutnie nie.

— Rozumie pan, o co mi chodzi? Uwodzenie kobiet, to nie jego styl. Nie lubi tego i nigdy nie miałby dość cierpliwości. Oczekuje od nich jedynie gwałtownego i szybkiego odprężenia i nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek w swym życiu był zakochany.

— W pani także nie?

— Sama często się nad tym zastanawiałam. Nie mam pojęcia. Jesteśmy dwadzieścia lat po ślubie Kiedy go poznałam, był kawalerem i mieszkał ze swoją starą gosposią.

— W tym samym domu?

— Tak. Wynajął to mieszkanie przypadkowo, kiedy miał trzydzieści lat, i nigdy nie przyszło mu do głowy go zmienić, nawet kiedy został mianowany profesorem w szpitalu Cochin, który znajduje się na drugim końcu miasta.

— Czy pani pracowała razem z nim w szpitalu?

— Tak. Myślę, że mogę mówić z panem wprost? Ciągle krępowała ją obecność Lucasa, a Lucas, który to spostrzegł, także czuł się niezręcznie i wciąż odruchowo krzyżował i rozprostowywał na zmianę swoje krótkie nogi.

— Przez całe miesiące nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Wiedziałam oczywiście, jak wszyscy w szpitalu, że większość pielęgniarek wcześniej czy później przechodzi przez jego łóżko i że nie pociąga to za sobą żadnych konsekwencji. Na drugi dzień zdawał się o tym nie pamiętać. Pewnej nocy, kiedy miałam dyżur i czekaliśmy oboje na wynik jakiejś operacji, która trwała trzy godziny, po prostu wziął mnie, bez słowa.

— Kochała go pani?

— Myślę, że tak. Podziwiałam go w każdym razie. Zaskoczyło mnie bardzo, gdy w kilka dni później zaprosił mnie na obiad do pewnej restauracji na Faubourg Saint-Jacques. Zapytał, czy jestem mężatką. Do tej pory go to nie i zainteresowało. Potem zapytał, co robią moi rodzice, odpowiedziałam, że ojciec mieszka w Bretanii i jest rybakiem. Nudzę pana?

— Nie, skądże.

— Tak bym chciała, żeby pan to wszystko zrozumiał.

— Czy nie obawia się pani, że mąż wróci i zdziwi się, kiedy nie zastanie pani w domu?

— Przed przyjściem tutaj zadzwoniłam do kliniki Saint-Joseph, gdzie właśnie teraz przeprowadza operację. Upewniłam się, że nie wróci przed wpół do ósmej.

Było piętnaście po szóstej.

— O czym mówiłam? Ach, tak. Jedliśmy razem obiad i Gouin chciał się dowiedzieć, co robi mój ojciec. Teraz rzeczy się nieco komplikują, zwłaszcza że zależy mi na tym, aby pan dobrze mnie zrozumiał. Był zadowolony i uspokojony jednocześnie, że pochodzę z podobnej jak on rodziny. Nikt bowiem nie wie, do jakiego stopnia jest nieśmiały, można niemal powiedzieć: chorobliwie nieśmiały, ale jedynie w stosunku do ludzi należących do innej warstwy społecznej. Myślę, że właśnie dlatego dożył czterdziestki nie żeniąc się, dlatego też nigdy nie wszedł do grupy ludzi zwanych potocznie „środowiskiem”. Wszystkie kobiety, które sobie brał, pochodziły z ludu.

— Rozumiem.

— Zastanawiam się, czy z jakąś inną mógłby w ogóle...

Zaczerwieniła się i słowa jej nabrały w ten sposób określonego sensu.

— Przyzwyczał się do mnie, nie przestając postępować z innymi tak, jak postępował zawsze. A potem pewnego pięknego dnia zapytał jakby mimochodem, czy chcę wyjść za niego za mąż. Oto cała nasza historia. Zamieszkałam tutaj. Prowadziłam mu dom.

— Gosposia odeszła?

— W tydzień po naszym ślubie. Nie muszę chyba dodawać, że nie jestem o niego zazdrosna. To byłoby śmieszne z mojej strony.

Maigret nie pamiętał, żeby kiedykolwiek obserwował kogoś z tak napiętą uwagą. Pani Gouin wyczuwała ten wzrok, nie była tym onieśmielona, przeciwnie, zdawała się rozumieć zainteresowanie komisarza jej osobą.

Starła się powiedzieć wszystko, ukazać każdy rys charakteru swojego sławnego męża.

— Nadal sypiał z pielęgniarkami, ze swoimi kolejnymi asystentkami, właściwie ze wszystkimi nadarzającymi mu się dziewczynami. Oczywiście z założenia nie mogły mu one komplikować życia. I to jest być może bardzo ważne. Za nic w świecie nie zgodziłby się na związek, przez który traciłby czas przeznaczony według niego wyłącznie na pracę.

— A Lulu?

— Już pan wie, że nazywano ją Lulu? Zaraz do tego dojdę. Zobacz pan, że jest to równie proste jak cała reszta. Czy mogę napić się wody?

Lucas chciał wstać, ale pani Gouin już weszła do kuchni, skąd po chwili usłyszeli lejącą się z kranu wodę. Kiedy usiadła znowu, miała wilgotne wargi i kroplę wody na brodzie.

Mimo regularnych rysów nie była właściwie piękna, nie była nawet ładna w zwykłym znaczeniu tego słowa. Ale przyjemnie było na nią patrzeć. Emanowała łagodzącym wszystkim spokojem. Maigret pomyślał, że gdyby był chóry, chciałby być przez nią pielęgnowany. Należała do tego gatunku kobiet, z którymi można pójść gdzieś na kolację albo na obiad nie czując się zobowiązanym do ciągłego podtrzymywania konwersacji. Krótko mówiąc, przyjaciółka, wyrozumiała, nie dziwiąca się niczemu, nie komentująca i nie oburzająca się na nic.

— Przypuszczam, że pan zna jego wiek?

— Sześćdziesiąt dwa lata.

— Tak. I trzeba panu wiedzieć, że jego zwykły wigor ani trochę nie osłabł. Nadaję temu słowu wszelkie możliwe znaczenia. Faktem jest jednak, jak myślę, że wszyscy mężczyźni w pewnym wieku obawiają się zmniejszenia potencji.

Zorientowała się, że Maigret przekroczył pięćdziesiątkę, i wybełkotała zażenowana:

— Przepraszam pana...

— Nie ma za co.

Po raz pierwszy uśmiechnęli się razem.

— Myślę, że dzieje się tak z wszystkimi mężczyznami. Zresztą nie wiem. Tak czy inaczej Etienne w znacznym stopniu zwiększył swoją aktywność seksualną. Nadal pana to nie szokuje?

— Nadal mnie to nie szokuje.

— Mniej więcej dwa lata temu operował młodą pacjentkę, Luizę Filon, której cudem uratował życie. Pan wie już oczywiście wszystko o niej? Pochodziła z najniższej warstwy społecznej i to właśnie zainteresowało prawdopodobnie mojego męża.

Maigret kiwał twierdząco głową, gdyż wszystko, co mówiła pani Gouin, brzmiało autentycznie i miało w sobie prostotę policyjnego raportu.

— Musiało się to zacząć w szpitalu, kiedy dziewczyna dochodziła do siebie po operacji. Następnie mąż wynajął jej mieszkanie na ulicy La Fayette. Zrobił to po krótkiej i przypadkowej rozmowie ze mną na ten temat. Nie podał mi żadnych szczegółów.

W tych rzeczach zawsze był i jest nadal wstydlivy. Nagle, w czasie posiłku, mówił mi o tym, co zrobił lub co zamierza zrobić. Nie stawiam żadnych pytań. Potem już do tego nie wracamy.

— To był pani pomysł, żeby dziewczyna zamieszkała w tym samym domu?

Fakt, że Maigret sam do tego doszedł, wydawał się sprawiać jej przyjemność.

— Muszę panu podać jeszcze kilka szczegółów, aby pan dobrze zrozumiał. Przepraszam, że mówię nieco rozwleknie. Ale to wszystko stanowi całość. Kiedyś Etienne sam prowadził samochód. Kilka lat temu, cztery dokładnie, miał niezbyt groźny zresztą w skutkach wypadek na placu Zgody. Potrafił jakąś kobietę, szczęśliwie skończyło się na lekkich obrażeniach. Ale bardzo się tym przejął. Przez parę miesięcy zatrudnialiśmy szofera, ale Etienne nigdy nie mógł się do tego przyzwyczaić. Był niemal wstrząśnięty faktem, że mężczyzna w sile wieku nie ma nic innego do roboty, tylko czekać na niego godzinami w samochodzie. Zaproponowałam, że ja będę go wozić, ale to także się nie sprawdziło w praktyce i w końcu zaczął jeździć taksówkami. Samochód ponad rok stał w garażu, w końcu go sprzedaliśmy. Codziennie rano ta sama taksówka podjeżdża pod dom i zawozi go do pracy. Stąd do Faubourg Saint-Jacques jest kawał drogi. Mąż ma również pacjentów w Neuilly, a także w innych szpitalach. Więc jeśli miałby jeszcze jechać na ulicę La Fayette...

Maigret wciąż potakiwał z uwagą, podczas gdy Lucas zdawał się drzemać.

— Przypadkowo zwolniło się jedno mieszkanie w tym domu.

— Chwileczkę. Czy mąż często nie wracał na noc, gdy szedł na ulicę La Fayette?

— Zawsze spędzał tam tylko część nocy. Zależało mu na tym, żeby być rano w domu, gdy przychodziła jego asystentka, pełniąca także funkcję sekretarki.

Roześmiała się krótko.

— Wszystko właściwie spowodowały codzienne komplikacje domowe. Zapytałam go w końcu, dlaczego by nie miał tutaj umieścić tej dziewczyny.

— Pani wiedziała, kim ona jest?

— Wiedziałam wszystko o niej, łącznie z tym, że ma kochanka imieniem Pierrot.

— On też wiedział?

— Tak. Nie był zazdrosny. Nie sprawiłoby mu zapewne przyjemności, gdyby go przyłapał z Lulu, ale skoro odbywało się to poza nim...

— Proszę mówić dalej. Mąż się zgodził na pani propozycję. A ona?

— Zdaje się, że się opierała przez jakiś czas.

— Jakie były, pani zdaniem, uczucia Luizy Filon wobec profesora?

Maigret machinalnie przejął styl pani Gouin, gdy mówił e tym mężczyźnie, którego nigdy nie widział na oczy, a który zdawał się być teraz obecny wśród nich.

— Czy mam być szczerą?

— Bardzo panią o to proszę.

— Z początku, jak wszystkie kobiety z otoczenia mojego męża, znalazła się pod silnym wpływem jego osobowości. Pomyśli pan może, że jest to z mojej strony jakaś osobliwa duma, ale choć profesor nie jest przystojny w potocznym znaczeniu tego słowa i chociaż dawno już nie można go nazwać młodym, niewiele znam kobiet, które by się mu oparły. Kobiety instynktownie czują jego siłę wewnętrzną i.. — Tym razem nie znalazła odpowiednich słów. — Nieważne! Taka jest prawda i nie sądzę, aby inni pańscy rozmówcy temu zaprzeczyli. Z tą dziewczyną było tak jak ze wszystkimi pozostałymi. W dodatku mój mąż uratował jej życie i traktował ją w sposób, do którego nie była przyzwyczajona. Wszystko to wciąż brzmiało jasno i logicznie.

— Żeby być z panem szczerą do końca, jestem przekonana, że kwestia pieniędzy odegrała tu swoją rolę. Jeśli nawet nie same pieniądze, to przynajmniej perspektywa bezpieczeństwa, egzystencji pozbawionej trosk.

— Czy Lulu nigdy nie myślała o rozstaniu się z profesorem i wspólnym życiu z Pierrotem?

— Z tego, co wiem, to nie.

— Czy pani widziała jej kochanka?

— Minęliśmy się raz w bramie.

— Często tu przychodził?

— W zasadzie nie. Spotykała się z nim gdzieś po południu. Rzadko ją tu odwiedzał.

— Pani mąż wiedział o tym?

— To możliwe.

— Jak pani myśli, miał o to do niej pretensję?

— Być może, ale nie z zazdrości. To trudno wytłumaczyć.

— Czy pani mąż był bardzo przywiązany do tej dziewczyny?

— Wszystko mu zawdzięczała. Właściwie stworzył ją niemal od nowa, bo przecież gdyby nie on, już by nie żyła. A może myślał o dniu, kiedy już nie będzie miał innych kobiet? Wydaje mi się, ale to tylko moje domysły, że wobec niej nie wstydział się niczego.

— A wobec pani?

Przez chwilę bez ruchu wpatrywała się w dywan na f podłodze.

— Ja jestem jednak kobietą

Komisarz omal nie zaripostował: „A ona była niczym!” Gdyż pani Gouin zapewne tak właśnie pomyślała, a może i profesor myślał również w ten sposób?

Wolał zachować milczenie Siedzieli przez chwilę W trójkę nic nie mówiąc. Na dworze deszcz wciąż padał bezgłośnie. W domu naprzeciwko zapaliły się światła i za kremowymi zasłonami jednego z okien widać było poruszający się cień.

— Niech mi pani opowie o wczorajszym wieczorze — powiedział w końcu Maigret i dorzucił, wskazując na świeżo załadowaną fajkę: — Pozwoli pani?

— Oczywiście.

Dotąd tak był zafascynowany tym, co mówiła, że zapomniał nawet o paleniu.

— A co by pan chciał usłyszeć?

— Najpierw pewien drobiazg. Czy mąż spędzał zazwyczaj u niej noc?

— Niezwykle rzadko. Widzi pan, nasze mieszkanie zajmuje całe piętro. Po lewej stronie jest salon. Po prawej sypialnia i łazienka męża, biblioteka, następnie pokój, gdzie mąż przechowuje pisma naukowe zajmujące wszystkie półki aż do sufitu, i wreszcie jego gabinet i biuro sekretarki.

— Śpicie więc państwo osobno.

— Zawsze tak było. Nasze sypialnie przedzielone są garderobą.

— Czy mogę pani zadać niedyskretne pytanie?

— Ma pan wszelkie po temu prawa.

— Czy utrzymuje pani obecnie stosunki małżeńskie z profesorem?

Pani Gouin raz jeszcze spojrzała na biednego Lucasa, który wyraźnie czuł się zbędny w tym towarzystwie i nie bardzo wiedział, jak się zachować.

— Rzadko.

— To znaczy właściwie wcale?

— Tak.

— Od dawna?

— Od lat.

— Nie odczuwa pani braku tego?

Pani Gouin speszyła się, uśmiechnęła i potrząsnęła głową.

— To prawdziwa spowiedź. Jestem gotowa odpowiedzieć panu tak szczerze, jak to tylko możliwe. Powiedzmy, że w pewnym stopniu mi tego brakuje.

— Ale nie daje pani nic poznać mężowi?

— Naturalnie, że nie.

— Czy ma pani kochanka?

— Nie przyszło mi to do głowy.

Zamilkła na chwilę, starając się przychwycić spojrzenie komisarza.

— Pan mi wierzy?

— Tak.

— Dziękuję. Ludzie nie zawsze akceptują prawdę. Kiedy jest się towarzyszką życia takiego mężczyzny jak Gouin, można zdobyć się na poświęcenie pewnych rzeczy.

— Więc schodził do niej, a potem wracał na górę?

— Tak.

— Wczoraj wieczorem też?

— Nie. Nie robił tego codziennie. Czasami zadowalał się krótką, parominutową wizytą raz na tydzień. Zależało to od ilości pracy. A także zapewne od innych okazji na mieście.

— Ciągłe utrzymywał kontakty z innymi kobietami?

— Tak, to znaczy kontakty tego typu, jakie panu opisałam.

— A wczoraj?

— Widział się z nią kilka minut po obiedzie, wiem o tym, o tym, bo nie wsiadł do windy wychodząc z domu, co jest dla mnie zawsze jednoznaczne.

— W jaki sposób może pani być pewna, że widział ją tylko kilka minut?

— Bo słyszałam, jak od niej wychodził i wsiadał do windy.

— Śledziła go pani?

— Straszny pan jest, komisarzu. Tak, śledziłam go, jak zawsze, nie z zazdrości, ale... Jakby tu wytłumaczyć, żeby nie wydać się panu zbyt egzaltowaną? Uważałam za swój

obowiązek ochraniać go, wiedzieć o wszystkim, co robi, gdzie jest, niejako iść za nim w myślach.

— Która była wtedy godzina?

— Około ósmej. Przekąśliśmy coś szybko na obiad, gdyż mąż miał być wieczorem w szpitalu Cochin. Niepokoił się stanem pacjenta, którego operował tego dnia, i chciał zostać przy nim na dyżurze.

— Więc spędził kilka minut w mieszkaniu na dole, a potem wsiadł do windy?

— Tak. Jego asystentka, pani Decaux, czekała na niego przed domem, jak to ma w zwyczaju, kiedy profesor wraca wieczorem do szpitala. Mieszka dwa kroki stąd, na ulicy des Acacias, i zawsze razem wyjeżdżają.

— Ona także? — zapytał komisarz, nadając swym słowom ewidentny sens.

— Ona także, przy okazji. Wydaje się to panu wynaturzeniem?

— Nie.

— O czym mówiłam? Ach, tak. Koło wpół do dziewiątej przyszła moja siostra.

— Siostra pani mieszka w Paryżu?

— Na bulwarze Saint-Michel, naprzeciwko Wyższej Szkoły Górniczej. Antoinette jest ode mnie o pięć lat starsza i nigdy nie miała męża. Pracuje w bibliotece, to taka typowa stara panna.

— Czy znany jej jest tryb życia pani męża?

— Nie wie o nim wszystkiego, ale już z uwagi na to, co . odkryła do tej pory” nienawidzi go i pogardza nim głęboko.

— Istnieją między nimi jakieś nieporozumienia?

— Moja siostra nie odzywa się słowem do Etienne. Jest to osoba niezwykle religijna i dla niej mój mąż stanowi uosobienie diabła.

— A on jak ją traktuje?

— Nie zauważa jej. Zresztą Antoinette rzadko do nas przychodzi, tylko wtedy, gdy jestem sama w domu.

— Unika go?

— Jak to tylko możliwe.

— A jednak wczoraj...

— Widzę, że konsjerżka wszystko panu powiedziała. To prawda, wczoraj wieczorem spotkali się. Spodziewałam się powrotu męża najwcześniej około północy, więc spokojnie rozmawiałam z siostrą.

— O czym?

— O wszystkim i o niczym.

— Mówiłyście panie także o Lulu?

— Nie przypominam sobie.

— Ale nie jest pani pewna, że nie?

— Właściwie jestem pewna. Sama nie wiem, dlaczego panu tak wymijająco odpowiedziałam. Rozmawialiśmy tylko o naszych rodzicach.

— Pani rodzice już nie żyją?

— Matka umarła, a ojciec mieszka w departamencie Finistere. Mieszkają tam także nasze siostry. Było nas ośmioro, sześć dziewcząt i dwóch chłopców.

— Czy któreś z nich przeniosło się do Paryża?

— Tylko ja i Antoinette. O wpół do dwunastej, może trochę wcześniej, zostałyśmy zaskoczone powrotem Etienne'a. Kiwnął nam tylko głową na przywitanie. Antoinette niemal natychmiast pożegnała się ze mną i wyszła.

— Mąż nie schodził już na dół?

— Nie. Był zmęczony, zaniepokojony stanem swojego pacjenta, u którego wystąpiły jakieś pooperacyjne komplikacje.

— Mąż ma klucz od mieszkania, jak sądzę?

— Oczywiście.

— Czy w ciągu wieczoru nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego? Nie usłyszeliście panie żadnego hałasu?

— W tych starych kamienicach nie słyhać, co się dzieje w sąsiednim mieszkaniu, a co dopiero mówić o innym piętrze.

Spojrzała na zegarek i poruszyła się nerwowo na krześle.

— Przepraszam pana, komisarzy, ale czas już, żebym poszła na górę. Etienne może wrócić lada moment. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Chwilowo nie.

— Czy sądzi pan, że będzie można uniknąć przesłuchania mojego męża?

— Nie mogę pani tego obiecać, ale z pewnością przeszkodzę mu tylko wówczas, kiedy będę uważał, że jest to naprawdę niezbędne.

— A czy teraz uważa pan to za niezbędne?

— Nie, teraz nie.

Wstała i podała mu rękę nieco męskim gestem, nie spuszczając z niego oczu.

— Dziękuję, panie komisarzy.

Odwróciła się i wzrok jej padł na kartonowe pudło z fotografiami, lecz komisarz nie mógł uchwycić wyrazu jej twarzy.

— Jestem przez cały dzień w domu. Może pan przyjść, kiedy mąż będzie nieobecny. Rozumie pan doskonale, że nie jest to żadne polecenie, to tylko prośba.

— Ani przez chwilę o tym nie wątpiłem. Powtórzyła:

— Dziękuję.

I wyszła zamykając za sobą najpierw drzwi do pokoju, a potem drzwi do mieszkania. Biedny Lucas patrzył na komisarza wzrokiem człowieka, który dostał czymś ciężkim po głowie. Bał się powiedzieć jakieś głupstwo, milczał więc, pilnie wpatrując się w twarz Maigreta w nadziei, że wyczyta z niej, co powinien o tym wszystkim sądzić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ciekawe, że w samochodzie wiozącym go do gmachu policji Maigret nie myślał ani o profesorze Gouin, ani o jego żonie, ale — niemal wbrew sobie — o Luizie Filon, której zdjęcia z jarmarku wsunął do portfela przed wyjściem z jej mieszkania.

Nawet na tych zdjęciach robionych przecież w czasie wieczornych zabaw, gdzie Luiza powinna tryskać radością życia, na jej twarzy nie było cienia uśmiechu. Maigret znał wiele takich dziewcząt jak ona, wywodzących się z tego samego środowiska, ich dzieciństwo i młodość przebiegały mniej więcej tak samo. Niektóre z nich charakteryzowała hałaśliwa, wulgarna wesołość, mogąca w każdej chwili przerodzić się we łzy lub agresję. Inne, jak Désirée Brault, z wiekiem stawały się twarde i cyniczne.

Trudno mu było określić wrażenie, jakie wywarły na nim zdjęcia Lulu — ona sama za życia wywoływała w ludziach z pewnością podobne reakcje. Nie była to twarz smutna, raczej przywołała na myśl minę małej, nadasanej dziewczynki, która stoi na uboczu i przygląda się zabawie swoich koleżanek na szkolnym boisku.

Trudno by mu było wytłumaczyć, na czym polegał jej urok, ale wyczuwał go, jak u wielu podobnych do niej dziewcząt, które w czasie przesłuchań, nie wiedząc właściwie dlaczego, traktował z większą niż zazwyczaj łagodnością i dobrocią.

Były na ogół młode, zachowały pewną świeżość, czasami wydawało się, że jeszcze niedawno były dziećmi, a przecież wiele przeżyły i w ich oczach zasnutych smutkiem przesuwają się obrazy ściskające serce, ich ciała miały w sobie niezdrowy urok czegoś, co więdnie, co już zaczyna niknąć.

Wyobrażał sobie Lulu w jej hotelowym pokoju na ulicy Riquet, w jakimkolwiek innym pokoju dzielnicy Barbes — spędzała zapewne całe dni w łóżku, czytała, drzemała, wpatrywała się w zamazane szyby okna. Wyobrażał ją sobie w którejkolwiek z kawiarni osiemnastej dzielnicy, przesiadującą godzinami przy stoliku i patrzącą na Pierro — ta i jego trzech kolegów grających w belotkę. Widział także, jak z poważną i jakby natchnioną twarzą tańczy przy dźwiękach orkiestry w jakiejś restauracji. I wreszcie miał przed oczami jeszcze jeden obraz: Lulu czyha w ciemnym zakątku ulicy na mężczyzn, nie zadaje sobie nawet trudu, żeby się do nich uśmiechnąć, wchodzi następnie przed swoim klientem po schodach hotelu, gdzie wynajmuje się pokoje na godziny, podając głośno swoje imię właścicielce.

Przez ponad rok mieszkała w tej przytłaczającej surowością kamienicy przy avenue Carnot i jej mieszkanie zdawało się dla niej zbyt wielkie, zbyt zimne, tutaj właśnie z trudnością mógł ją sobie wyobrazić, nie potrafił odtworzyć jej życia z takim człowiekiem jak Etienne Gouin.

Światło nie paliło się prawie w żadnej sali na Quai des Orfèvres. Powoli wszedł po zabłoconych schodach do swego biura. Janvier już czekał na niego. Była to pora roku, kiedy kontrast między zimnem na dworze a ciepłem w domach jest najbardziej odczuwalny, pokoje zdawały przegrzane i gorące powietrze powodowało nagłe uderzenie krwi do głowy.

— Nic nowego?

Machina policyjna została wprawiona w ruch w poszukiwaniu Pierre'a Eyraud. Na dworcach i lotniskach zatrzymywano mężczyzn o podobnym rysopisie. Brygada Specjalna przeszukiwała wszystkie hotele i pokoje do wynajęcia w osiemnastej dzielnicy.

Młody Lapointe od południa nie opuszczał ani na krok „Hotel du Var” przy ulicy Riquet, gdzie po zapadnięciu zmroku widać było krążące niestrudzenie panienki.

Inspektor Janin natomiast, jako obeznany z tą dzielnicą, stosował bardziej indywidualne metody poszukiwań. Wiedział przecież, że tu, w północno-wschodniej części Paryża, rozciąga się kamienna dżungla, gdzie człowiek może zniknąć na całe miesiące, gdzie często dopiero po kilku, tygodniach odkrywa się morderstwo tu tysiące istot, mężczyzn i kobiet, żyje poza nawiasem społeczeństwa, w świecie, w którym znajdują dowolną ilość kryjówek i

wspólników; chociaż policja zarzuca tu czasami sieć i wyławia kogoś od dawna poszukiwanego, to jednak bardziej liczy na telefon od zazdrosnej dziewczyny albo donosiciela.

— Gastine–Renette dzwonił przed godziną. Był to ekspert od spraw broni palnej.

— Co mówił?

— Jutro otrzyma pan jego pisemny raport. Kula, która zabiła Luizę Filon, została wystrzelona z broni automatycznej kalibru 6,35.

A więc rewolwer zwany ogólnie amatorskim. Prawdziwi przestępcy, ci, którzy naprawdę mają zamiar zabić, posługują się bronią bardziej fachową.

— Dzwonił także doktor Paul. Prosi o skontaktowanie się z nim.

Janvier spojrział na zegarek. Było piętnaście po siódmej.

— Prawdopodobnie już dotarł do restauracji „La Perouse”, gdzie przewodniczy jakiemuś posiedzeniu.

Maigret wykręcił numer restauracji. W kilka minut później rozmawiał z lekarzem sądowym.

— Przeprowadziłem sekcję tej dziewczyny przysłanej przez pana. Nie wiem, może się mylę, ale chyba już ją gdzieś widziałem.

— Była kilkakrotnie zatrzymywana.

Doktor Paul nie rozpoznał zapewne twarzy Lulu, zdeformowanej przez strzał, poznał natomiast prawdopodobnie jej ciało.

— Kula została wystrzelona z bardzo bliskiej odległości, nie trzeba nawet eksperta, żeby to stwierdzić. Ja oceniam tę odległość na dwadzieścia pięć do trzydziestu centymetrów, nie więcej.

— Śmierć nastąpiła natychmiast, jak sądzę?

— Błyskawicznie. Żołądek zawierał jeszcze nie strawione produkty, między innymi langustę.

Maigret przypomniał sobie, że widział w koszu na śmieci w kuchni Lulu pustą puszkę po languscie.

— Przy posiłku piła białe wino. Czy to pana interesuje? Maigret nie był jeszcze tego pewny. W obecnym stadium

śledztwa trudno było powiedzieć, jaka informacja może mieć znaczenie.

— Odkryłem także jeszcze jedną rzecz, która być może pana zdziwi. Czy pan wie, że ta dziewczyna była w ciąży?

Komisarz rzeczywiście był tym zaskoczony, tak zaskoczony, że na chwilę zaniemówił.

— Od jak dawna? — zapytał wreszcie.

— Około sześciu tygodni. Mogła jeszcze o tym nie wiedzieć. Jeśli wiedziała, to dopiero od kilku dni.

— Jest pan tego pewny?

— Absolutnie. Dowie się pan o wszystkich technicznych szczegółach z mojego raportu.

Maigret odłożył słuchawkę i powiedział do Janviera stojącego obok przy biurku:

— Była w ciąży.

Ale Janvier, znający tylko ogólnie całą sprawę, nie wydawał się tym zaszokowany.

— Co zrobimy z Lapointe'em?

— A, prawda. Trzeba wysłać tam jakiegoś zmiennika.

— Lober nie ma nic specjalnego do roboty.

— Trzeba by też wymienić Lucasa. To prawdopodobnie nic nie da, ale wolę, żeby ktoś nadal pilnował mieszkania.

— Gdybym mógł teraz coś zjeść, to mogę sam się wybrać. Chyba można tam spać?

— Nie widzę przeszkód.

Maigret przerzucił ostatnie wydanie gazet. Nie zamieszczono jeszcze fotografii Pierrota, pewnie dotarła za późno do redakcji, ale podano jego dokładny rysopis.

„Policja poszukuje narzeczonego Luizy Filon, muzyka zatrudnionego w nocnym lokalu, nazwiskiem Pierre Eyraud, zwanego Pierrot, który był ostatnią osobą, jaka »k wczoraj wieczorem złożyła wizytę.

Pierre Eyraud, wielokrotnie już karany, opuścił miejsce zamieszkania i przypuszczalnie ukrywa się w znanej dobrze dzielnicy la Chapelle...”

Maigret wzruszył ramionami, wstał i niezdecydowanym krokiem skierował się ku wyjściu.

— Jeśli będzie coś ważnego, mam dzwonić do domu?

Maigret skinął twierdząco głową. Nie było sensu siedzieć w biurze. Jeden ze służbowych samochodów podwiózł go pod dom i jak zwykle pani Maigret otworzyła drzwi wejściowe, zanim zdążył włożyć klucz do zamka. Nie zrobiła żadnej uwagi na temat jego spóźnienia. Gotowa kolacja czekała na stole.

— Nie zaziębiłeś się?

— Chyba nie.

— Powinieneś zdjąć buty.

— Nie przemoczyłem nóg.

Była to prawda. Komisarz nie chodził tego dnia wiele po ulicy. Zobaczył na półce to samo wieczorne wydanie gazety, którą przed chwilą przerzucił u siebie w gabinecie. Jego żona wiedziała więc o wszystkim, ale nie zadawała mu Żadnych pytań.

Wiedziała, że Maigret ma jeszcze ochotę wyjść, nie zdjął bowiem krawata, co miał zwyczaj robić wracając z biura. Po kolacji komisarz otworzył kredens, żeby nalać sobie kieliszek śliwownicy. Żona śledziła wzrokiem jego ruchy.

— Wychodzisz?

Jeszcze przed chwilą nie był tego pewny. Prawdę mówiąc oczekiwał telefonu od profesora Gouin. Nie opierał tego przekonania na żadnej konkretnej przesłance, ale przecież Gouin powinien się spodziewać, że zostanie wezwany na przesłuchanie. Czy nie jest zdziwiony, że nikt się nim nie interesuje, skoro tyle osób wie o jego związku z Lulu?

Zadzwoił do mieszkania Luizy Filon. Lapointe właśnie objął dyżur.

— Nic nowego?

— Nic, szefie. Całkowity spokój. Zaraz położę się spać na tej kanapie, wygląda na bardzo wygodną.

— Nie wiesz, czy profesor jest u siebie?

— Lucas mi mówił, że Gouin wrócił około wpół do ósmej. Nie słyszałem, żeby wychodził.

— Śpij dobrze.

Czy Gouin domyślał się, że jego żona będzie chciała rozmawiać z Maigretem? I czy jej z kolei udało się niczego po sobie nie pokazać? O czym rozmawiali w czasie kolacji we dwoje? Profesor zapewne miał zwyczaj zamykać się po posiłku w swoim gabinecie?

Maigret nalał sobie drugi kieliszek, wychylił go duszkiem stojąc przy kredensie, potem podszedł do wieszaka w korytarzu i zdjął swój ciepły płaszcz.

— Weź szalik. Długo cię nie będzie?

— Godzinę, może dwie.

Musiał iść na piechotę aż do bulwaru Voltaire, dopiero tutaj wsiadł do taksówki podając szoferowi adres restauracji „Grelot”. Na ulicach panował spokój, prócz okolic dworca wschodniego i północnego. Te dzielnice przypominały zawsze Maigretowi jego pierwsze lata pracy w policji.

Wzdłuż bulwaru de la Chapelle, przy naziemnej na tym odcinku linii metra, wszystkie znajome mu sylwetki były już na swoim miejscu, te same co każdej nocy. O ile wiadomo, co tu robią i czego oczekują kobiety, o tyle trudno było zrozumieć, skąd wzięło się tylu mężczyzn tkwiących beczynn timer w ciemnościach i chłodzie. Nie wszyscy szukali partnerki na

krótkie spotkanie. Niewielu także miało tu umówioną randkę. Różnych ras, starzy i młodzi, wychodzili wieczorami jak szczury z kryjówek i zapuszczali się aż na krańce swojego państwka.

Neon restauracji „Grelot” rzucał fioletowy odblask na ulicę; Maigret wysiadając z taksówki usłyszał dźwięki przygłuszonej muzyki, właściwie sam rytm, któremu towarzyszyło głucho szuranie nóg po parkiecie. Dwóch mundurowych policjantów stało wyczekująco pod latarnią obok restauracji, a przy wejściu widać było jakiegoś mężczyznę, który, jak się zdawało, wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza, ale kiedy zobaczył zbliżającego się Maigreta, pospiesznie wrócił do środka.

W tych dzielnicach zawsze tak reagowano na jego pojawienie się. Komisarz jeszcze nie wszedł do lokalu, gdy w drzwiach potrąciło go dwóch mężczyzn i szybko zniknęło w ciemnych, przepastnych ulicach.

Inni, przy barze, odwracali na jego widok głowę, w nadziei, że nie zostaną rozpoznani, a kiedy tylko ich minął, oni także szybko się wymykali.

Właściciel restauracją, niski, przysadzisty człowieczek, zbliżył się do Maigreta.

— Jeśli pan szuka Pierrota, komisarzu...

Specjalnie mówił głośno i podkreślał słowo „komisarzu”, chcąc uprzedzić całą salę. Tutaj także panował fioletowy półmrok i z trudnością można było odróżnić postaci ludzi siedzących przy stołach, gdyż tylko parkiet przy orkiestrze był oświetlony. Na twarzach tańczących odbijał się upiorny blask reflektorów.

Muzyka grała nadal, pary obracały się w jej rytmie, ale rozmowy umilkły i oczy wszystkich obecnych zwróciły się w stronę potężnej sylwetki Maigreta, który krążył po sali w poszukiwaniu wolnego stolika.

— Pan chciałby usiąść?

— Tak.

— Proszę tędy, komisarzu.

Właściciel lokalu zachowywał się jak handlarz zachwalający swój towar.

— Czego się pan napije? Ja stawiam.

Dla Maigreta to wszystko nie było zaskoczeniem. Wiele już razy przeżywał podobne sytuacje.

— Wódki.

— Jedna wódka dla komisarza Maigret!

Na galerii stało czterech muzyków ubranych w czarne spodnie i jedwabne, ciemnoczerwone koszule. Znalaziono już kogoś, kto zastępował Pierrota i grał raz na saksofonie, raz na akordeonie.

— Czy pan chce rozmawiać ze mną? Maigret zaprzeczył i wskazał na estradę.

— Z muzykami?

— Z takim, który najlepiej znał Pierrota.

— W takim razie z akordeonistą. Za jakiś kwadrans robimy przerwę i Louis będzie mógł chwilę z panem porozmawiać. Panu się chyba nie spieszy?

Jeszcze pięć czy sześć osób, w tym jeden z tańczących, poczuło nagłą potrzebę przewietrzenia się i zniknęło. Maigret nie zwracał na to uwagi, spokojnie rozglądał się dookoła i ludzie przy stolikach powoli podejmowali rozmowy.

Widać było kilka prostytutek, ale żadna nie czekała na klienta. Przyszły tu, żeby się zabawić, większość ze swoimi chłopakami.

W tańcu oddawały się całkowicie rytmowi, który stanowił dla nich święty rytuał, niektóre przymykały oczy jak w ekstazie, inne przytulały twarz do twarzy partnera, gdy ich ciała nie usiłowały nawet się dotknąć.

Były tu także sekretarki, sprzedawczynie, ale te odwiedzały lokal wyłącznie po to, by posłuchać muzyki i potańczyć, nie zauważało się ciekawskich ani odświętnie ubranych par, które przychodzą do takich restauracji, żadne poznanie tego marginesowego środowiska.

Podobnych nocnych lokali z orkiestrą niewiele już zostało w Paryżu, najwyżej kilka, przychodzili do nich tylko wtajemniczeni, a piło się tu więcej lemoniady niż alkoholu.

Czterech muzyków patrzyło z góry na Maigreta obojętnym wzrokiem i trudno było odgadnąć ich myśli. Akordeonista był przystojnym, ciemnowłosym młodzieńcem w wieku około trzydziestu lat. Zapisał sobie bokobrody na modłę hiszpańską i swym wyglądem przypominał początkującego adepta sztuki filmowej.

Mężczyzna w kelnerskim fartuchu z ogromną kieszenią zebrał monety od siedzących wokoło gości.

Pary zostały na parkiecie. Orkiestra zagrała jeszcze jeden taniec, tym razem tango, reflektory zmieniły światło z fioletowego na czerwone i czerwienią zamazywała makijaż tańczących kobiet i biel koszul muzyków; w końcu muzycy odłożyli instrumenty, a właściciel lokalu szepnął coś do akordeonisty, zwracając się do niego po imieniu.

Louis raz jeszcze spojrzął na stolik Maigreta, zanim zdecydował się zejść po drabince na dół.

— Proszę, może pan usiądzie — zaproponował mu komisarz.

— Zaczynamy za dziesięć minut.

— To wystarczy. Czego się pan napije?

— Niczego.

Nastąpiła cisza. Od innych stolików pilnie ich obserwowano. Wokół baru zrobiło się tłoczno. Kobiety poprawiały sobie urodę.

Louis zaczął pierwszy.

— Strzela pan kulą w płot — powiedział głosem pełnym pretensji.

— Chodzi o sprawę Pierrota?

— Pierrot nie zabił Lulu. Tylko to łatwo tak powiedzieć!

— Dlaczego więc zniknął?

— Nie jest taki idiota, wie, że wszystko odbije się na nim. Pan lubi, jak pana aresztują?

— To pański przyjaciel?

— Tak, to mój przyjaciel, i znam go na pewno lepiej niż ktokolwiek inny.

— Czy może pan wie, gdzie on jest?

— Nawet gdybym wiedział, nigdy bym tego nie zdradził.

— A wie pan?

— Nie. Nie mam od niego wiadomości, od kiedy rozstaliśmy się wczoraj wieczorem.

Czytał pan chyba gazety?

Głos Louisa drżał od ledwo powstrzymanej złości.

— Ludzie sobie wyobrażają, że jak ktoś gra na dancinгах, to koniecznie musi być jakimś bandziorem. Może pan też tak myśli?

— Nie.

— Widzi pan tego wysokiego blondyna, który gra na bębnie? No więc może pan wierzyć albo nie, ale on jest po maturze, przez rok chodził nawet na uniwersytet. Pochodzi z mieszczańskiej rodziny. Pracuje tu, bo to lubi, w przyszłym tygodniu żeni się z dziewczyną, która studiuje medycynę. Ja też jestem żonaty, jeśli to pana interesuje, mam dwoje dzieci, moja żona spodziewa się trzeciego i mieszkamy w czteropokojowym mieszkaniu na bulwarze Voltaire. Maigret wiedział, że to prawda. Louis zapominał, że komisarz zna to środowisko niemal tak samo dobrze jak on.

— Dlaczego Pierrot się nie ożenił? — zapytał tylko przyciszonym głosem.

— To co innego.

— Lulu nie chciała?

- Tego nie powiedziałem.
- Kilka lat temu Pierrot został aresztowany za sutenerstwo.
- Wiem.
- No więc?
- Mówię panu, że to co innego.
- To znaczy?
- Pan by i tak tego nie zrozumiał. Przede wszystkim on jest z sierocińca. Nic to panu nie mówi?
- Owszem.
- Zostawiono go samemu sobie w wieku lat szesnastu. Radził sobie w tym mieście, jak mógł. Ja być może na jego miejscu robiłbym jeszcze gorsze rzeczy. Ale ja miałem rodziców, jak wszystkie inne dzieci. Moi rodzice żyją do tej pory.
- Był dumny, że jest takim samym zwykłym człowiekiem, jak inni, ale jednocześnie odczuwał potrzebę bronienia tych, którzy znajdowali się po drugiej stronie bariery. Maigret mimowolnie uśmiechnął się do niego z sympatią.
- Dlaczego pan się śmieje?
- Bo ja to wszystko doskonale znam.
- Gdyby pan znał Pierrota, nie wypuściłby pan tej całej hordy policjantów na niego.
- Skąd pan wie, że policja depcze mu po piętach?
- Przecież gazety nie wymyśliłyby sobie tego wszystkiego, co tam powypisywano. Poza tym czuje się ruch w dzielnicy. Kiedy zaczynają się pojawiać na horyzoncie pewne twarze, wiadomo, co to oznacza. Louis nie lubił policji i nie ukrywał tego.
- Jakiś czas temu Pierrot zgrywał się na twardego — mówił dalej.
- A nie był takim?
- Czy pan uwierzy, jeśli powiem, że to człowiek nieśmiały i sentymentalny? A to jest właśnie prawda.
- Czy on kochał Lulu?
- Tak.
- Czy znał ją już wtedy, kiedy uprawiała prostytutkę?
- Tak.
- I zgadzał się na to, żeby robiła to nadal.
- A jakie miał inne wyjście? Widzi pan sam, że nic pan nie rozumie’
- Potem zgodził się, żeby sobie wzięła poważnego człowieka za kochanka i dawała się utrzymywać?
- To co innego.
- Dlaczego?
- A według pana co on mógłby jej ofiarować? Czy pan sobie wyobraża, że za to, co się tu zarabia. Pierrot byłby w stanie ją utrzymać?
- A pan przecież utrzymuje swoją rodzinę, prawda?
- Właśnie, że pan się myli! Moja żona jest krawcową i pracuje dziesięć godzin dziennie, zajmując się jednocześnie dziećmi. Pan właśnie tego nie rozumie: jak ktoś się urodził w tej dzielnicy i nigdy nie zaznał niczego innego..
- Przerwał.
- Jeszcze tylko cztery minuty.
- Inni muzycy obserwowali ich nieruchomo, z doskonale obojętnym wyrazem twarzy.
- Wiem tylko, że on jej nie zabił. A jeśli nie wyciągnął jej z łap tego doktora, to tylko dlatego, że. .
- Pan wie, kto był tym drugim kochankiem Lulu?
- No to co z tego?
- Czy to Pierrot panu powiedział?

— Wszyscy wiedzą, że to się zaczęło już w szpitalu. Zaraz panu wytłumaczę, co Pierrot myślał na ten temat. Była to szansa dla Lulu, możliwość spokojnego życia i pewność jutra, wyjście nareszcie z tego bagna. Dlatego Pierrot się nie sprzeciwiał.

— A Lulu?

— Ona też może miała swoje powody.

— Co to za powody?

— To nie moja sprawa.

— Jakiego rodzaju była to dziewczyna?

Louis spojrział na otaczające ich kobiety z miną mówiącą, że Lulu nie różniła się specjalnie od innych.

— Miała ciężkie życie — rzucił w końcu, jakby to tłumaczyło wszystko. — Nie była tam szczęśliwa. — I to „tam” oznaczało oczywiście odległą dzielnicę Etoile, która widziana stąd zdawała się innym światem.

— Przychodziła czasami potańczyć...

— Wyglądała na przygnębioną?

Louis wzruszył ramionami. Czy to słowo miało w ogóle jakiś sens w dzielnicy la Chapelle? Czy wśród ludzi siedzących wokół nich ktoś był naprawdę wesoły? Nawet młode sprzedawczynie przybierały w tańcu melancholijne pozy i domagały się smutnych piosenek.

— Została nam jedna minuta. Potem, jeśli pan będzie mnie jeszcze potrzebował, musi pan czekać pół godziny.

— Kiedy Pierrot wrócił wczoraj wieczorem z avenue Carnot, czy o niczym panu nie mówił?

— Przeprosił za spóźnienie, mówił coś o jakimś ważnym zdarzeniu, ale bez szczegółów.

— Był ponury?

— On zawsze jest ponury.

— Czy pan wiedział, że Lulu była w ciąży?

Louis popatrzył na niego uważnie, w jego oczach kryło się najpierw niedowierzanie, potem zdziwienie, w końcu — powaga.

— Jest pan pewny?

— Lekarz sądowy, który przeprowadzał autopsję, nie może się mylić.

— Od kiedy?

— Sześć tygodni.

Zrobiło to na nim wrażenie, być może dlatego, że sam miał dzieci, a jego żona była właśnie w ciąży. Zwrócił się do kelnera stojącego niedaleko nich, który usiłował wyłowić bodaj słowo z ich rozmowy.

— Daj mi coś do picia, Erneście. Kieliszek czegokolwiek.

Z tego wszystkiego zapomniał, że minuta dawno już minęła. Szef czujnie obserwował ich stół.

— Tego się nie spodziewałem.

— Ja też nie — przyznał Maigret.

— Profesor jest na to za stary, jak myślę?

— To się zdarza nawet osiemdziesięciolatkom.

— Jeśli pan mówi prawdę, to jest to jeszcze jeden dowód na niewinność Pierrota.

— Niech pan mnie posłucha.

Louis spojrział na niego ciągle jeszcze z pewną nieufnością, ale jego wzrok nie miał już w sobie nic agresywnego.

— Być może dostanie pan jakiś znak życia od Pierrota, w taki czy inny sposób. Nie proszę, żeby go pan sypnął. Proszę tylko, żeby mu pan przekazał, że chciałbym z nim porozmawiać, gdzie będzie mógł, kiedy będzie mógł. Rozumie pan?

— I pozwoli mu pan odejść?

— Nie twierdzą, że przerwę poszukiwania. Obiecuję tylko, że nie zatrzymam go po naszej rozmowie.

— O co ma pan zamiar go pytać?

— Nie wiem jeszcze.

— Ciągłe pan uważa, że to on zabił Lulu?

— Nic nie uważam.

— Nie sądzę, żeby się do mnie jakoś odezwał.

— Jeśli to zrobi...

— Przekażę mu pańską prośbę. A teraz już pana przeproszę...

Opróżnił jednym haustem kieliszek, wspiął się po drabince na górę i założył na ramię pasy od akordeonu. Koledzy nie zadali mu żadnych pytań. Pochylił się w ich stronę, ale tylko po to, by podać im tytuł pierwszej melodii. Mężczyźni przy barze obserwowali z daleka siedzące przy stolikach dziewczyny i zastanawiali się, którą z nich zaprosić do tańca.

— Kelner, rachunek!

— Nic pan nie płaci, to na koszt szefa.

Nie było sensu protestować. Maigret wstał i skierował się w stronę wyjścia.

— Dowiedział się pan czegoś nowego, komisarzu? W głosie właściciela wyczuwało się ironię.

— Dziękuję za poczęstunek.

W tych okolicach nie było co marzyć o taksówce, Maigret doszedł więc do bulwaru de la Chapelle odprawiając dziewczynki, które nie wiedziały, kim jest, i usiłowały go zaczepić. W odległości trzystu metrów błyszczały światła skrzyżowania Barbes. Deszcz ustał i nad miastem zaczynała osiadać taka sama jak rano mgła. Reflektory aut otaczała aureola wilgoci.

Ulica Riquet znajdowała się o dwa kroki stąd. Komisarz wkrótce do niej dotarł i odszukał inspektora Lobera. Był to mężczyzna prawie w jego wieku, ale nigdy nie doczekał się awansu. Stał oparty o mur i palił papierosa.

— Nic?

— Kupa ludzi wchodzi i wychodzi, ale jego nie widziałem.

Maigret miał ochotę zwolnić Lobera z posterunku i dać mu się wyspać. Mógł także zadzwonić do Janviera i kazać mu iść do domu. I odwołać straż na dworcach, bo był przekonany, że Pierrot nie ma zamiaru opuszczać Paryża. Ale musiał wykonywać nadal wszystkie normalne posunięcia. Nie miał prawa ryzykować.

— Nie zimno ci?

Od Lobera już zajeżdżało rumem. Nie będzie się uskarżał na swój los tak długo, jak długo jest otwarty narożny bar. Z tego właśnie powodu do końca życia zostanie inspektorem.

— Spokojnej nocy, stary. Jak zdarzy się coś nowego, dzwoń do mnie do domu.

Była godzina jedenasta. Tłumy ludzi wychodziły z kin po ostatnim seansie. Pary szły ulicami obejmując się za ramiona, niektórzy całowali się w ciemnych zaułkach, inni biegli, by zdążyć na swój autobus.

Kiedy minęło się oświetlone rzęsiście bulwary, zaczynały się ciemne uliczki, a każda z nich rządziła się swoimi prawami i żyła swoim życiem. Na każdej też mieściły się dwa lub trzy hotele z żółtawym szyldem obwieszczającym ich nazwę.

Komisarz skierował się w stronę bulwarów i wszedł do jaskrawo oświetlonego baru przy skrzyżowaniu Barbes. Co najmniej pięćdziesiąt osób stało wokół cynowego kontuaru.

Choć miał ochotę zamówić rum, powiedział machinalnie, pamiętając o tym, co pił w „Grelot”:

— Jedną wódkę.

Lulu przesiadywała na pewno tutaj, tak jak teraz te panienki, uważne na każde męskie spojrzenie.

Zadzwoił z automatu na Quai des Orfèvres. Nie wiedział, kto tego wieczoru ma dyżur, ale od razu rozpoznał po głosie niejakiego Lucien, nowicjusza, młodzieńca, który przyszedł do nich po studiach, ale nadal się uczył w nadziei na awans.

— Tu Maigret. Nic nowego.

— Właściwie nic, panie komisarzu. Jakichś dwóch Arabów pobiło się nożami na ulicy Goutte d'Or. Jeden zmarł w trakcie przenoszenia do wozu. Drugi jest ranny i udało mu się zbiec.

Wszystko to działo się nie dalej niż trzysta metrów od miejsca, skąd telefonował, zaledwie dwadzieścia minut temu, wtedy zapewne, gdy szedł bulwarem de la Chapelle. Nic z tego do niego nie dotarło, niczego nie słyszał. Morderca być może przechodził koło niego. Zanim noc się skończy, rozegrają się z pewnością w tej dzielnicy inne dramaty. O kilku z nich będzie wiadomo, o innych policja usłyszy dużo później.

Pierrot też przyczał się gdzieś między Barbès i La Villette.

Czy wiedział, że Lulu była w ciąży? Czy prosiła go telefonicznie o przyście, by go o tym zawiadomić?

Doktor Paul mówił o sześciu tygodniach. To znaczy, że od paru dni mogła mieć podejrzenia.

Czy mówiła o nich profesorowi Gouin?

Było to możliwe, ale mało prawdopodobne. Należała raczej do tego rodzaju kobiet, które idą po poradę do dzielnicowego lekarza albo akuszerki.

Komisarz nie wiedział niczego na pewno, mógł tylko snuć przypuszczenia. Lulu wraca do siebie po wizycie u lekarza. Nie podejmuje żadnej decyzji. Według pani Gouin, profesor zszedł po obiedzie do Lulu, ale został tam tylko kilka minut.

Maigret zamówił następny kieliszek. Chciał tu jeszcze posiedzieć. Zdawało mu się, że jest to właściwe miejsce na rozmyślania o Lulu i Pierrocie.

— Nic nie powiedziała profesorowi — szepnął do siebie.

Zwierzyła się najpierw Pierre'owi, co by tłumaczyło jego nagłą wizytę.

Czy w takim razie to on ją zabił?

Przede wszystkim trzeba by się upewnić, że wiedziała o swoim stanie. Gdyby mieszkała w innej dzielnicy, można by z całą pewnością stwierdzić, że przebadana się u jakiegoś lekarza z sąsiedztwa. W dzielnicy Etoile, gdzie czuła się kimś obcym, było to mniej prawdopodobne.

Musi koniecznie nazajutrz wysłać notatkę służbową do wszystkich ginekologów i akuszerki w Paryżu. Jest to niezwykle ważne. Po telefonie doktora Paul komisarz był przekonany, że zapowiedź macierzyństwa Lulu stanowi klucz do całego dramatu.

Co robi teraz Gouin, czy po prostu śpi sobie spokojnie? Czy może korzysta z wolnego wieczoru i przegląda jakąś pracę naukową z dziedziny chirurgii?

Już za późno, żeby porozmawiać ze sprzątaczką Lulu, panią Brault, mieszkającą także niedaleko stąd, w okolicy placu Clichy. Dlaczego nic mu nie powiedziała o profesorze? Czyżby nie wiedziała, spędzając codziennie czas z Lulu, kim jest jej kochanek?

Rozmawiały ze sobą. Ona jedna w całym domu mogła zrozumieć zwierzenia takiej osoby, jaką była Luiza Filon.

Dozorczyńni początkowo zachowała milczenie, gdyż miała wobec profesora dług wdzięczności i zapewne była w nim mniej lub bardziej świadomie zakochana.

Można by powiedzieć, że wszystkie gorączkowo usiłowały go chronić, i właśnie dziwny wpływ tego sześćdziesięciodwuletniego mężczyzny na otaczające go kobiety tak intrygował Maigreta.

Gouin nie robił nic, by je uwieść. Posługiwał się nimi jakby z pewnym roztargnieniem, wyłącznie w celu odprężenia fizycznego, i żadna nie miała do niego o ten cynizm pretensji.

Trzeba też przesłuchać asystentkę Gouina, Lucile Decaux. I także być może siostrę pani Gouin, jedyną jak dotąd, nad którą profesor zdawał się nie mieć władzy.

— Ile płacę?

Wsiadł do pierwszej napotkanej taksówki.

— Na bulwar Richard Lenoir.

— Wiem, panie komisarzu — odparł kierowca.

To mu podsunęło myśl odszukania taksówki, która poprzedniego wieczoru odwoziła Gouina ze szpitala do domu.

Czuł się otepiały i ociężały od wypitego alkoholu. Przymknął oczy. Uliczne latarnie przesuwwały się po obu stronach samochodu.

Powracał stale myślą do Lulu, wyjął z portfela jej fotografie i przyglądał się im w półmroku taksówki. Matka Luizy także nie uśmiechała się na zdjęciach.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nazajutrz rano czuł w ustach nieprzyjemny smak bimbru. Kiedy podczas raportu w gabinecie szefa o godzinie dziewiątej wezwano go do telefonu, miał wrażenie, że jego oddech wciąż jeszcze zionie tanim alkoholem, i unikał mówienia do kolegów ze zbyt bliskiej odległości.

Na codzienne zebranie z szefem naczelnym stawili się jak zwykle wszyscy inspektorzy, każdy z nich trzymał pod pachą teczkę rozmaitej objętości. Okna biura wychodziły na Sekwanę. Na dworze wciąż było szaro, szary był także kolor rzeki. Podobnie jak poprzedniego dnia, ludzie szli szybko ulicami, a przechodząc przez most Saint-Michel przyspieszali kroku. Po moście hulał wiatr, zmuszając mężczyzn do przytrzymywania kapeluszy, a kobiety do obciążania spódnic.

— Może pan tutaj odebrać, komisarzu.

— Boję się, że to długo potrwa, szefie. Wolę przejść do mojego biura.

Koledzy Maigreta — a prawdopodobnie nie wszyscy przecież wypili wczoraj za dużo — wyglądali nie lepiej od niego. Zły nastrój jakby ogarnął wszystkich zgromadzonych i miało się wrażenie, że to wina pogody i tej szarości sączącej się przez okna.

— To pan, szefie? — usłyszał w słuchawce pytający i wyraźnie podekscytowany głos Janvier.

— Co się stało?

— Waśnie stąd wyszedł. Mam opowiedzieć szczegółowo?

Komisarz uświadomił sobie, że właściwie Janvier także nie czuje się zapewne najlepiej po nocy spędzonej na kanapie w mieszkaniu Lulu.

— Słucham cię.

— No więc tak. Stało się to przed chwilą, najwyżej dziesięć minut temu. Właśnie piłem w kuchni kawę. Nie włożyłem jeszcze ani marynarki, ani krawata. Musi pan wiedzieć, że udało mi się zasnąć dopiero bardzo późno w nocy.

— A co, coś się działo?

— Nie, spokój zupełny, przynajmniej ja nic nie słyszałem. Jakoś nie mogłem spać.

— Mów dalej.

— Wszystko stało się tak po prostu, zaraz pan usłyszysz. Aż się dziwię, że to takie proste. Usłyszałem lekki zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Znieruchomiałem ustawiając się w taki sposób, żebym mógł widzieć, co dzieje się w salonie. Ktoś wszedł do korytarza i otworzył drugie drzwi. Był to profesor, jest wyższy i szczuplejszy, niż go sobie wyobrażałem. Miał długi ciemny deszczowiec, wełniany szalik na szyi, kapelusz na głowie, w ręku trzymał rękawiczki.

— Co zrobił?

— No właśnie, to chciałbym panu dobrze wytłumaczyć. Nic nie zrobił. Posunął się o kilka kroków naprzód, powoli, jak człowiek wracający do siebie do domu. Przez chwilę zastanawiałem się, co on takiego obserwuje z wyjątkową uwagą, i zdałem sobie sprawę, że zostawiłem na dywanie moje buty. Odwrócił głowę, zauważył mnie i zmarszczył leciutko brwi. Nie wzdygął się. Nie wydawał się ani zażenowany, ani przerażony. Spojrzał na mnie jak ktoś, kto myśli o czymś innym i musi się przez chwilę skupić, żeby wrócić do rzeczywistości. W końcu spytał mnie nie podnosząc głosu: „Pan jest z policji?” Tak byłem zaskoczony jego wyglądem, jego sposobem bycia, że skinałem tylko potakująco głową. Przez dłuższą chwilę nie odzywaliśmy się do siebie. Ze wzroku, jakim patrzył na moje stopy w samych skarpetkach, odniosłem wrażenie, że nie jest zadowolony z mojego swobodnego zachowania się w tym mieszkaniu. Ale to tylko takie wrażenie. Być może wcale nie myślał o moich nogach. Udało mi się w końcu powiedzieć: „Co pan tu robi, panie profesorze?” —

„Więc pan wie, kim ja jestem?” Ten człowiek zachowuje się tak, jakby jego rozmówca był niczym, nawet kiedy na pana patrzy, to tak, jakby patrzył, powiedzmy, na pewien wzór na dywanie. „Nie przyszedłem właściwie w żadnym specjalnym celu” — powiedział cicho. — „Chcę po prostu rzucić okiem”.

I rzeczywiście przyglądał się wszystkiemu uważnie, obserwował kanapę, gdzie jeszcze leżały poduszka i koc, którym się przykryłem w nocy, wdychał zapach świeżo zaparzonej kawy. Po chwili dodał tym samym obojętnym tonem: „Dziwię się bardzo, że pański zwierzchnik jeszcze się do mnie nie zgłosił. Może pan mu powiedzieć, młody człowieku, że jeśli interesowałaby go rozmowa ze mną, to jestem do jego dyspozycji. Jadę teraz do Cochin, będę tam do jedenastej. Potem wpadnę na chwilę przed obiadem do kliniki Saint-Joseph, wrócę zjeść coś do domu, a po południu mam ciężką operację w amerykańskim szpitalu w Neuilly”. Przebiegł faz jeszcze wzrokiem cały pokój i wyszedł zamykając za sobą obie pary drzwi. Otworzyłem okno, żeby na niego popatrzeć. Przed domem stała taksówka, a na chodniku czekała młoda kobieta z teczką pod pachą. Otworzyła mu drzwiczki samochodu i wsiadła za nim. Myślę, że kiedy przyjeżdża po niego rano, dzwoni do niego od konsjerżki i zawiadamia go, że jest już na dole. To wszystko, szefie.

— Dziękuję ci.

— Czy myśli pan, że on jest bogaty?

— Według ogólnej opinii zarabia dużo pieniędzy. Ubogich pacjentów operuje za darmo, ale kiedy każe sobie płacić, są to sumy przekraczające wszelkie wyobrażenie. Dlaczego? o to pytasz?

— Dlatego, że nie mogąc zasnąć, zrobiłem spis rzeczy tej panienki. Nie znalazłem tam tego, czego można by się było spodziewać. Zauważyłem co prawda dwa futra, ale nie najlepszej jakości, a jedno z nich to po prostu barany. Żaden przedmiot, od bielizny do butów, nie pochodzi z jakiegoś eleganckiego sklepu. Oczywiście, kiedy mieszkała na Barbes, nosiła jeszcze gorsze ciuchy, ale to, co znalazłem, wcale nie wygląda na rzeczy dziewczyny utrzymywanej przez bogatego kochanka. Nie znalazłem także książeczki czekowej ani żadnego dokumentu stwierdzającego, że posiadała konto w banku. W torebce natomiast znajduje się tylko kilka banknotów stufrankowych, a w szufladzie nocnego stolika dwieście franków.

— Myślę, że możesz już wracać. Masz klucz?

— Znalazłem jakiś klucz w jej torebce.

— Zamknij więc drzwi. Załóż nitkę albo coś takiego, żebyśmy wiedzieli, czy ktoś je otwierał. Czy sprzątaczką nie pojął się?

Maigret nic jej nie mówił poprzedniego dnia, czy ma przyjść posprzątać mieszkanie. Nikt także nie pomyślał o tym, że jej nie zapłacono.

Nie warto było wracać do szefa, posiedzenie pewnie już dawno się skończyło. Trzymający straż na ulicy Riquet inspektor Lober prawdopodobnie ślaniał się ze zmęczenia i zimna, a od kiedy otworzono bary, rozgrzewał się zapewne kilkoma kieliszkami rumu. Maigret zadzwonił do komisariatu na ulicy Goutte d'Or.

— Czy jest tam Janin? Nie przyszedł jeszcze? Tutaj Maigret. Czy moglibyście wysłać kogoś od was na ulicę Riquet? Stoi tam jeden z moich inspektorów, Lober. Powiedzcie mu, żeby zdał swój raport przez telefon i poszedł spać, chyba że natrafił na coś interesującego.

Usiłował przypomnieć sobie o różnych rzeczach, o których myślał wczoraj wieczorem wracając z Barbes. Zadzwonił do Lucasa.

— Wszystko w porządku?

— Tak, szefie. W nocy dwóch policjantów robiących obchód dwudziestej dzielnicy na rowerach przyprowadziło do komisariatu pewnego mężczyznę, myśleli, że to Pierrot. Nawet podobny, w dodatku też muzyk, gra w piwiarni na placu Blanche, ale to nie on.

— Chciałbym, żebyś spróbował dowiedzieć się telefonicznie w Beziers, czy niejaki Ernest Filon, który kilka lat temu leżał w tamtejszym szpitalu, mieszka jeszcze gdzieś w okolicy.

— Rozumiem.

— Chciałbym także, żeby przepytano taksówkarzy stacjonujących zazwyczaj wieczorem w okolicach szpitala Cochin. Któryś z nich odwoził przedwczoraj profesora do domu.

— To wszystko?

— Na razie tak.

Wykonywał tego ranka tylko swe zwykłe czynności, a w dodatku w biurze czekał na niego stos papierków do podpisania, nie mówiąc o raporcie lekarza sądowego, który powinien przekazać do Sądu.

Przerwał na chwilę pracę, aby poprosić telefonistką o połączenie z jego przyjacielem Pardon, lekarzem. Maigret widywał się z nim niemal regularnie co miesiąc.

— Bardzo jesteś zajęty?

— W przedpokoju czeka czterech lub pięciu pacjentów, mniej niż zwykle o tej porze roku.

— Czy znasz profesora Gouin?

— Operował kilku z moich pacjentów, a ja asystowałem przy tych operacjach.

— Co o nim myślisz?

— To jeden z najlepszych lekarzy, jakich kiedykolwiek mieliśmy. W przeciwieństwie do wielu chirurgów, to nie tylko wspaniała ręka, ale i mózg. Przyczynił się do wielu odkryć, które długo jeszcze będą odgrywały ogromną rolę w medycynie.

— A jako człowiek?

— Co chcesz właściwie wiedzieć?

— Co o nim myślisz.

— Trudno powiedzieć. On się nie spoufala, zwłaszcza z takim mało znanym dzielnicowym lekarzem jak ja. Ale wobec innych także zdaje się trzymać na dystans.

— Nie jest lubiany?

— Raczej jakby się go obawiali. Ma taki specyficzny sposób odpowiadania na pytania, jakie ludzie ośmielają się mu zadawać. Podobno dla niektórych swoich pacjentów jest jeszcze surowszy. Słyszałem taką historię o pewnej niezwykle bogatej starej kobiecie, która błagała go, by ją zoperował, ofiarowując mu za to fortunę. Wiesz, co jej odpowiedział? „Operacja przedłuży pani życie o dwa tygodnie, może o miesiąc. Przez czas jej trwania mogę uratować jakiegoś innego chorego”. Ale właściwie personel szpitala Cochin uwielbia go.

— Zwłaszcza kobiety?

— Mówiono ci o tym? Podobno jeśli chodzi o te sprawy, to istny fenomen. Zdarza mu się, zaraz po operacji... rozumiesz?

— Tak. To wszystko?

— Ale niezależnie od tego to wielki człowiek.

— Dziękuję ci, stary.

Naszła go ochota, nie bardzo nawet wiedział dlaczego, żeby porozmawiać z Désirée Brault. Mógłby wysłać jej wezwanie lub kazać ją sprowadzić. Takie właśnie metody pracy stosowała większość inspektorów, a niektórzy z nich w ogóle w ciągu dnia nie opuszczali biura.

Wpadł do Lucasa, zajętego pilnym telefonem.

— Wychodzę na mniej więcej dwie godziny.

Wziął jeden z samochodów, kazał zawieźć się na ulicę Nollet za placem Clichy, gdzie mieszkała sprzątaczką Lulu. Odnalazł zniszczony budynek, od dwudziestu co najmniej lat nie odnawiany; gnieźdzące się w nim rodziny, co roku liczniejsze, powoli rozprzestrzeniały się aż na klatki schodowe, pełne bawiących się dzieci.

Pani Brault mieszkała na czwartym piętrze, od podwórza. Nie było windy, schody wydały się Maigretowi bardzo strome. Musiał dwa razy zatrzymać się po drodze i wdychać najrozmaitsze zapachy dobywające się z mieszkań.

— O co chodzi? — krzyknął ktoś, kiedy zapukał do drzwi. — Proszę wejść. Nie mogę teraz otworzyć.

Pani Brault w samej tylko bieliźnie, boso, prała w kuchni pościel w blaszanej misce. Nie zareagowała najmniejszym gestem na widok komisarza, nie przywitała się z nim, spokojnie czekała, aż tamten się odezwie.

— Byłem w pobliżu i wpadłem do pani.

— Coś takiego!

Para buchająca z miski osiadała na szybach. W sąsiednim pokoju rozlegało się chrapanie. Zanim pani Brault zamknęła drzwi, Maigret zdążył zauważyć nogę od łóżka.

— Mój mąż śpi — powiedziała.

— Pijany?

— Jak zwykle.

— Dlaczego nie powiedziała mi pani wczoraj, kto był kochankiem Lulu?

— A czy mnie pan o to pytał? Pan zapytał się, bardzo dobrze pamiętam, czy widziałam mężczyznę, który przychodził do Lulu.

— A pani go nigdy nie widziała?

— Nie.

— Ale wiedziała pani, że to profesor?

Sądząc po wyrazie jej twarzy, wiedziała to, a także wiele innych rzeczy. Tyle że nie pisnęła słówka, chyba że zmuszona siłą. Nie dlatego, że miała coś szczególnego do ukrycia. I również prawdopodobnie nie dlatego, by kogoś ochronić. Po prostu kierowała się zasadą niepomagania policji, co było w końcu dość zrozumiałe, jeśli zważyć, że właśnie policja całe życie ją prześladowała. Pani Brault nie lubiła policjantów. Traktowała ich jako swoich naturalnych przeciwników.

— Luiza mówiła pani o nim?

— Zdarzało jej się.

— Co o nim opowiadała?

— Opowiadała takie mnóstwo rzeczy!

— Chciała odejść od niego?

— Nie wiem, czy chciała odejść, ale nie czuła się dobrze w tym domu.

Choć mu tego nie zaproponowała, Maigret usiadł na wiklinowym krześle, które lekko skrzypnęło pod jego ciężarem.

— A co jej przeszkadzało odejść?

— Nie pytałam się.

— Kochała Pierrota?

— Na to wyglądało.

— A czy od Gouina dostawała dużo pieniędzy?

— Dawał jej, kiedy tylko poprosiła.

— A często prosiła?

— Jak tylko zabrakło w domu. Czasami w jej torebce i w szufladzie były już tylko drobne i nie miałam za co zrobić zakupów. Mówiłam jej to, a ona mi odpowiadała: „Zaraz poproszę”.

— Czy dawała jakieś pieniądze Pierrotowi?

— To nie moja sprawa. Gdyby była trochę sprytniejsza...

Zamilkła.

— To co by się stało?

— Po pierwsze nigdy by się nie zgodziła zamieszkać w tym domu, gdzie żyła jak więźniarka.

— Nie pozwalał jej wychodzić?

— Jej samej najczęściej nie wypadało wychodzić, bała się, że temu panu przyjdzie do głowy złożyć jej nagłą wizytę. Nie była jego kochanką, ale kimś w rodzaju gosposi, z tą różnicą, że nie wymagano od niej, żeby sprzątała, ale żeby się kładła. Gdyby mieszkała gdzieś na mieście, jak dawniej, i to on musiałby się pofatygować... Ale po co ja to wszystko opowiadam? O co panu właściwie chodzi?

— O jedną informację.

— Teraz przychodzi pan po informację i uprzejmie zdejmuję pan kapelusz. Jutro, jeśli nieszczęściem zatrzymam się dłużej przy jakiejś wystawie, wsadzi mnie pan do mamra. Co to ma być za informacja?

Rozwieszała bieliznę na sznurku rozciągniętym w poprzek kuchni.

— Czy pani wiedziała, że Lulu była w ciąży?

Odwróciła się żywo.

— Skąd pan to wie?

— Z autopsji.

— A więc nie myliła się.

— Kiedy pani o tym mówiła?

— Może na trzy dni przed tym, jak jej wpakowano kulę w głowę.

— Ale nie była pewna?

— Nie. Nie poszła do lekarza. Bała się.

— Czego?

— Chyba tego, że to się okaże nieprawdą.

— Chciała mieć dziecko?

— Myślę, że się cieszyła, że jest w ciąży. Ale nie można się jeszcze było cieszyć na sto procent. Powiedziałam jej, że teraz doktorzy mają taki sposób, który daje pewność nawet już po dwóch albo trzech tygodniach.

— I poszła do jakiegoś lekarza?

— „Spytała mnie, czy znam kogoś takiego. Dałam jej adres pewnego znajomego lekarza, blisko stąd, na ulicy des Dames.

— A nie wie pani, czy rzeczywiście poszła do niego?

— Jeżeli nawet poszła, to nic mi nie powiedziała.

— Pierrot wiedział o tym wszystkim?

— Czy pan w ogóle zna kobiety? Czy pan widział już kiedyś taką, która mówi o tych sprawach z mężczyzną, jak jeszcze nie jest całkiem pewna?

— Jak pan myśli, czy profesorowi także nic nie powiedziała?

— Niech pan sam trochę pogłótkuje.

— W jaki sposób, według pani, potoczyłyby się sprawy, gdyby Lulu nie zamordowano?

— Ja tam nie umiem wróżyć z fusów od kawy.

— Urodziłaby to dziecko?

— Na pewno.

— Zostałaby z profesorem?

— Chyba że odeszłaby z Pierrotem.

— Kto był ojcem, według niej?

Raz jeszcze spojrzała na komisarza tak, jakby nic nie rozumiał.

— Chyba nie wyobraża pan sobie, że to mógłby być profesor?

— Takie rzeczy się zdarzają.

— Tak, podobno, czytałam nawet w gazetach. Tyle że kobiety to nie krowy, które się trzyma zamknięte w oborze i raz do roku prowadzi do byka, więc trudno tu cokolwiek wiedzieć na pewno.

W sąsiednim pokoju pan Brault przewracał się na łóżku i mamrotał coś niezadowolony pod nosem. Désirée podeszła do drzwi.

— Chwileczkę, Jules! Mam teraz gościa. Za chwilę przyniosę ci twój nektar.

Zwróciła się do Maigreta.

— Jeszcze jakieś pytania?

— Właściwie już nie. Czy pani nienawidziła profesora Gouin?

— Już panu mówiłam, nigdy go nie widziałam.

— Ale nienawidzi go pani?

— Wszystkich tych ludzi nienawidzę.

— Przypuśćmy, że przychodzi pani tego ranka do Lulu i zauważa pani w jej dłoni albo gdzieś w pobliżu na dywanie rewolwer. Czy nie kusiłoby panią, żeby go schować, wykluczając w ten sposób hipoteczę samobójstwa i obarczając jednocześnie winą profesora?

— Musiał się pan bardzo namęczyć przy wymyślaniu tej bzdury. Głupia to ja nie jestem i wiem, że jak policja może wybierać między jakimś bogatym ważniakiem a biednym muzykiem, to za wszystko zapłaci ten biedak.

Nalała kawy do filiżanki, posłodziła ją, krzyknęła do męża:

— Już idę!

Maigret nie nalegał dłużej. Zawrócił tylko raz na progu, by spytać o nazwisko i adres lekarza z ulicy des Dames.

Był nim niejaki Duclos. Urzędował tu od niedawna i zapewne dopiero co ukończył studia i rozpoczął praktykę, gdyż jego gabinet był niemal zupełnie pusty, stały tam tylko niezbędne sprzęty kupione z przeceny. Gdy Maigret się przedstawił, doktor od razu wiedział, o co chodzi.

— Spodziewałem się, że wcześniej czy później ktoś przyjdzie.

— Czy podała panu swoje nazwisko?

— Tak. Nawet wypełniłem jej kartę.

— Od jak dawna wiedziała, że jest w ciąży?

Lekarz wyglądał tak młodo, jakby był jeszcze studentem. Zaczął przeglądać swą kartotekę, chcąc zapewne dodać sobie odwagi.

— Przyszła do mnie w sobotę, powołując się na jedną moją pacjentkę.

— Tak, wiem, panią Brault.

— Powiedziała mi, że jest prawdopodobnie w ciąży i że chce się upewnić.

— Chwileczkę. Czy wydawała się panu zdenerwowana?

— Nie. Mogę to stwierdzić z całym przekonaniem. Jeśli dziewczyna jej pokroju stawia mi takie pytanie, oczekuję zwykle, że zaraz się zapyta, czy mogę usunąć ciążę. Dzieje się tak dwadzieścia razy na tydzień. Nie wiem, czy odbywa się to w ten sam sposób w innych dzielnicach, ale tutaj tak. No, w każdym razie przyglądałem się jej dokładnie. Poprosiłem o przyniesienie moczu do analizy. Chciała wiedzieć, na czym polega test królika, wytłumaczyłem to jej.

— Jak zareagowała?

— Niepokoiła się, czy trzeba w tym celu zabić królika. Miała przyjść po wynik w poniedziałek po południu.

— Przyszła?

— O wpół do szóstej. Oznajmiłem jej wówczas, że z całą pewnością jest w ciąży. Podziękowała mi.

— Nic więcej nie mówiła?

— Dopytywała się dokładnie i zapewniłem ją, że to nie może być pomyłka.

— Czy robiła wrażenie szczęśliwej?

— Przysięgłbym, że tak.

A więc w poniedziałek około godziny szóstej Lulu wracała z ulicy des Dames na avenue Carnot. Około ósmej, po skończonej kolacji, profesor — według słów jego żony — zszedł na chwilę do mieszkania Luizy, następnie pojechał do szpitala.

Do mniej więcej dziesiątej wieczorem Luiza Filon siedziała samotnie u siebie. Zjadła langustę z puszki i wypila trochę wina. Potem prawdopodobnie położyła się, świadczyło o tym przygotowane do snu łóżko, pościel nie rozrzucona bezładnie, jak wówczas, gdyby miała spać z jakimś mężczyzną, ale po prostu rozłożona jak zwykle wieczorem.

W tym czasie Pierrot był już w swojej restauracji, więc w zasadzie Luiza mogła do niego od razu zadzwonić. Zrobiła to natomiast dopiero o wpół do dziesiątej.

Czyżby po to ściągała go z odległej dzielnicy odrywając od pracy, żeby mu oznajmić, że jest w ciąży? Jeśli tak, to dlaczego tak długiś tym zwlekała?

Czy Pierrot przyjechał taksówką? Ze słów konsjerżki wynikało, że przebywał u Luizy dwadzieścia minut.

Profesor Gouin — twierdziły tak znowu jego żona i konsjerżka — wrócił ze szpitala wkrótce po jedenastej i nie wchodził już do mieszkania swojej kochanki.

Nazajutrz o ósmej rano pani Brault przychodząc do pracy znajduje Luizę martwą na kanapie w salonie. Twierdzi, że nie zauważyła żadnej broni w pobliżu ciała zmarłej.

Doktor Paul, znany z niezwyklej ostrożności swych sformułowań, określił czas zgonu między godziną dziewiątą a jedenastą wieczorem. Biorąc pod uwagę telefon Luizy do „Grelot”, można z całą pewnością wyznaczyć dolną granicę na godzinę dziewiątą trzydzieści.

Jeśli chodzi o odciski palców zebrane w mieszkaniu, to należały one tylko do czterech osób: do Lulu, jej sprzątaczk, profesora i Pierre’a Eyraud. Szef brygady Moers wysłał swojego pracownika do szpitala Cochin, żeby sfotografował odciski palców Gouina z jego podpisu na jakiejś karcie chorobowej. Co do pozostałej trójki, zidentyfikowanie odcisków nie nastęrczało zbyt trudności, zważywszy że wszyscy posiadali swoją kartotekę w policji.

Lulu według wszelkiego prawdopodobieństwa nie spodziewała się napaści, ponieważ, jak stwierdzono, strzał został oddany z bardzo bliska.

W mieszkaniu nie znaleziono śladu przeszukiwań, co wskazywałoby na to, że morderstwa dokonano nie w celu rabunkowym ani też po to, by uzyskać jakiś cenny dla kogoś dokument.

— Dziękuję, doktorze. Po jej wizycie, jak sądzę, nikt pana o nią nie pytał, nikt nie dzwonił w jej sprawie?

— Nie. Kiedy przeczytałem w gazecie, że została zamordowana, spodziewałem się wizyty policji, zwłaszcza że Luizę Filon wysłała do mnie jej sprzątaczk, która z pewnością była o wszystkim poinformowana. Prawdę mówiąc, gdyby pan dzisiaj nie przyszedł, miałem zamiar na wszelki wypadek zadzwonić do pana po południu.

W kilka minut później Maigret rozmawiał z panią Gouin z automatu kawiarni na ulicy des Dames. Poznała jego głos i nie wydawała się zdziwiona.

— Słucham pana, komisarzu.

— Powiedziała mi pani wczoraj, że siostra pracuje w jakiejś bibliotece. Czy mogę wiedzieć, w jakiej?

— Biblioteka miejska na placu Saint-Sulpice.

— Dziękuję.

— Nic nowego pan nie odkrył?

— Tylko to, że Luiza Filon była w ciąży.

— Ach, tak!

Natychmiast pożałował, że powiedział o tym przez telefon i nie mógł zobaczyć jej reakcji.

— Dziwi to panią?

— Dostyc... tak... Być może wyda się to panu śmieszne, ale po kobietach tego pokroju pewnych rzeczy się nie spodziewamy. Zapomina się, że są one w końcu zbudowane jak wszystkie inne.

- Nie wie pani, czy mąż wiedział o tym?
- Powiedziałby mi na pewno.
- Nigdy nie miał dzieci?
- Nigdy.
- Nie chciał?
- Myślę, że było mu wszystko jedno, czy ma, czy nie ma.

Tak się złożyło, że nigdy nie zaszłam w ciążę. Wina prawdopodobnie leży po mojej stronie.

Niewielkie czarne auto zawiozło Maigreta na plac Saint-Sulpice. Z niewiadomych właściwie przyczyn nie znosił tego miejsca. Zawsze mu się wydawało, gdy tu przyjeżdżał, że znajduje się gdzieś na prowincji. Nawet sklepy według niego wyglądały tu inaczej niż w pozostałych dzielnicach Paryża, a przechodnie szli wolnym i smutnym krokiem. Smutny był także budynek biblioteki, słabo oświetlony, wypełniony ciszą jak pusty kościół. O tej porze przychodziło tu jedynie paru bywalców studiujących zakurzone naukowe dzieła.

Antoinette Olivier, siostra pani Gouin, patrzyła spokojnym wzrokiem na zbliżającego się komisarza. Wyglądała na więcej niż swoje pięćdziesiąt lat i wyczuwało się w niej tę nieco pogardliwą pewność siebie, jaką nieraz mają kobiety, którym się zdaje, że zjadły wszystkie rozumy.

- Jestem komisarz Maigret z Policji Kryminalnej.
- Poznałam pana ze zdjęć w gazetach.

Cały czas mówiła cicho i Maigret znów doznał wrażenia, że jest w kościele. A właściwie nie, nie w kościele, lecz w szkole, gdyż Antoinette wskazała mu krzesło stojące obok przykrytego zielonym sukniem stołu służącego za biurko. Wydawała się tęższa niż jej siostra Germaine, nie miała w sobie tej żywości, a jej woskowa cera przypominała cerę zakonnic.

- Przyszedł tu pan, jak sądzę, żeby uzyskać ode mnie jakieś informacje?
- Owszem. Pani siostra zeznała, że wczoraj wieczorem złożyła jej pani wizytę.

— Tak jest. Przyszłam około wpół do dziewiątej, a wyszłam o wpół do dwunastej, natychmiast po przybyciu tego osobnika, którego pan zapewne zna.

Fakt, że nie wymieniła nawet nazwiska swojego szwagra, musiał stanowić dla niej oznakę najwyższej pogardy, a słowo „osobnik”, które wymówiła powoli, rozdzielając sylaby, najwidoczniej bardzo jej się spodobało.

- Często się pani zdarza spędzać wieczór u siostry?

Maigret odniósł z niewiadomego powodu wrażenie, że jego rozmówczyni ma się na baczności i że rozmowa z nią będzie szła jeszcze bardziej opornie niż z konsjerżką czy panią Brault.

Tamte odpowiadały na jego pytania z całą ostrożnością, gdyż obawiały się zaszkodzić profesorowi.

Ta natomiast, przeciwnie, chciała prawdopodobnie ukazać go w jak najgorszym świetle.

- Rzadko — odpowiedziała z żalem w głosie.
- To znaczy, raz na pół roku, raz na rok, raz na dwa lata?
- Może raz do roku.
- Była pani z nią umówiona?
- Nie muszę się umawiać z własną siostrą.
- Więc poszła pani do niej nie wiedząc nawet, czy będzie w domu? Czy ma pani u siebie telefon?
- Tak.
- I nie zadzwoniła pani do siostry?
- To ona do mnie zadzwoniła.
- Prosiła panią, żeby pani ją odwiedziła?
- Niezupełnie. Najpierw rozmawiałyśmy o różnych rzeczach.

- O jakich?
- Głównie o sprawach rodzinnych. Moja siostra rzadko pisuje listy, to raczej ja utrzymuję kontakt z naszym rodzeństwem.
- Czy powiedziała pani, że chciałyby się z panią zobaczyć?
- Coś w tym rodzaju. Spytała mnie, czy mam wolny wieczór.
- O której to było?
- Około wpół do siódmej. — Właśnie wróciłam z pracy i robiłam sobie kolację.
- Nie zdziwił panią ten telefon?
- Nie. Upewniłam się tylko, czy je go nie będzie. Co o n panu powiedział?
- Ma pani na myśli profesora Gouin?
- Tak.
- Jeszcze go nie przesłuchiwałam.
- Bo sądzi pan, że on jest niewinny? Bo jest słynnym chirurgiem, członkiem Akademii Medycznej i ponieważ...
- Jej głos był wciąż tak samo cichy, ale ton stał się ostrzejszy.
- I co wydarzyło się — przerwał jej komisarz — kiedy przyszła pani na avenue Carnot?
- Weszłam na górę, ucałowałam moją siostrę w policzek i zdjęłam płaszcz i kapelusz.
- W którym pokoju panie siedziałyście?
- W takiej niewielkiej wnęce obok pokoju Germaine. Nazywa ją swoim buduarem. Salon jest zbyt obszerny i ponury, prawie zawsze stoi pusty.
- I co robiłyście potem?
- To, co na ogół robią siostry, zwłaszcza w naszym wieku, kiedy spotykają się po kilku miesiącach. Rozmawiałyśmy sobie, ja opowiadałam, co dzieje się w naszej rodzinie. Mówiłam zwłaszcza o François, kuzynie, który rok temu otrzymał święcenia kapłańskie i wyjeżdża w charakterze misjonarza do północnej Kanady.
- Czy coś piłyście?
- To pytanie zdziwiło ją, nawet zaszokowało do tego stopnia, że zaczerwieniła się mocno.
- Najpierw wypiliśmy filiżankę kawy.
- A potem?
- Kilka razy kichnęłam. Powiedziałam, że obawiam się, że złapałam katar wychodząc z metra, gdzie było strasznie gorąco. U mojej siostry też było bardzo gorąco.
- Czy służące jeszcze pracowały?
- Obie służące przyszły powiedzieć dobranoc i potem, koło dziewiątej, poszły spać. Moja siostra zatrudnia tę samą kucharkę od dwunastu lat. Sprzątaczkę zmieniają się częściej, z oczywistych powodów. Nie zapytał, z jakich powodów, zrozumiał.
- A więc, kichnęła pani...
- Germaine zaproponowała, że robi nam grogu, i poszła sama go przyrządzić do kuchni.
- A co pani robiła przez ten czas?
- Czytałam w jakimś tygodniku artykuł o naszej rodzinnej wiosce.
- Czy siostry długo nie była?
- Tyle czasu, ile potrzeba na zagotowanie dwóch szklanek wody.
- Czy przy poprzednich wizytach także wychodziła pani w momencie powrotu pani szwagra?
- Unikam go jak ognia.
- Czy zdziwiła się pani, że wrócił wcześniej?
- Siostra zapewniła mnie, że nie wróci przed północą.
- Jakie zrobił na pani wrażenie?
- Takie, jak zawsze, to człowiek, który uważa, że jest ponad zasadami moralnymi i normami przyzwoitości.
- Ale nic szczególnego nie rzuciło się pani w oczy?

— Nie zadałam sobie trudu, żeby mu się bliżej przyjrzeć. Włożyłam płaszcz, kapelusz i wyszłam trzaskając drzwiami.

— Czy tego wieczoru nie usłyszała pani żadnego odgłosu, na przykład wystrzału?

— Nie. Mniej więcej do godziny jedenastej ktoś piętro niżej grał na fortepianie. Poznałam jakiś utwór Chopina.

— Wiedziała pani, że kochanka pani szwagra jest w ciąży?

— Nie dziwi mnie to.

— Czy siostra mówiła pani o tym?

— Nie mówiła mi w ogóle o tej dziewczynie.

— Nigdy pani o niej nie mówiła?

— Nigdy.

— Ale wiedziała pani o całej sprawie?

Znowu się zaczerwieniła.

— Zdaje się, że siostra napomknęła coś na początku, kiedy ten osobnik umieścił Luizę w tym samym domu.

— Denerwowało ją to?

— Każdy żyje, jak mu się podoba. Nie sposób mieszkać od lat pod jednym dachem z takim człowiekiem, jeśli się nie przejmie częściowo jego poglądów.

— Inaczej mówiąc, siostra pani nie miała pretensji do męża i nie była na niego zła o to, że umieścił Luizę Filon w tym domu?

— Do czego pan właściwie zmierza?

Z trudnością przyszedłoby mu odpowiedzieć na to pytanie. Miał wrażenie, że posuwa się jakąś drogą nie wiedząc, czym się ona kończy. Na razie chciał stworzyć sobie możliwie jak najdokładniejszy obraz osób, które znały Lulu, i samej Lulu.

Przeszkodził im jakiś młody człowiek pytający o pewne tytuły dzieł i Antoinette opuściła komisarza na parę minut. Wróciła naładowana nową porcją nienawiści do swojego szwagra i nie pozwoliła Maigretowi nawet otworzyć ust.

— Kiedy go pan w końcu aresztuje?

— Myśli pani, że to on zamordował Luizę Filon?

— A któż by inny!

— Na przykład jej kochanek Pierrot.

— Jaki miałby powód, by to zrobić?

— Z zazdrości albo dlatego, że chciała z nim zerwać.

— A myśli pan, że ten drugi nie był zazdrosny? Czy mężczyzna w jego wieku nie może dostać szału widząc, że jego dziewczyna woli młodszego? A jeśli Luiza zdecydowała się na zerwanie właśnie z n i m ?

Chciała go jakby zahipnotyzować własnymi słowami, wbić mu za wszelką cenę do głowy myśl o winie profesora.

— Gdyby pan go lepiej znał, zrozumiałby pan, że taki człowiek nie zastanawia się długo, jeśli chce zgładzić ludzką istotę.

— Myślałem, że on właśnie poświęca życie ratowaniu ludzi.

— Przez próżność! Ponieważ chce udowodnić całemu światu, że jest największym chirurgiem wszechczasów. Imam na to dowód: podejmuje się tylko trudnych operacji.

— Być może dlatego, że inni są zdolni zająć się łatwiejszymi przypadkami.

— Broni go pan, nawet go nie znając.

— Usiłuję zrozumieć.

— To nie jest przecież skomplikowane.

— Zapomina pani, że według orzeczenia lekarza sądowego, a ten rzadko się myli, morderstwo zostało popełnione przed jedenastą. A konsjerżka widziała profesora wracającego do siebie po jedenastej i pojechał on windą prosto na piąte piętro.

— A skąd wiadomo, że nie było go u Luizy wcześniej?

— Jak przypuszczam, łatwo się dowiedzieć w szpitalu, jaki miał tego dnia rozkład zajęć.

— Pan już to zrobił?

Tym razem to Maigret omal się nie zaczerwienił.

— Jeszcze nie.

— No to niech się pan jak najszybciej tym zajmie. Na pewno da to więcej niż śledzenie tego Bogu ducha winnego chłopca.

— Pani nienawidzi profesora?

— Jego i wszystkich jemu podobnych. Powiedziała to z taką siłą, że trzech czytelników studiujących opasłe woluminy podniosło jednocześnie głowy,

— Zapomniał pan kapelusza!

— Myślałem, że zostawiłem go przy wejściu.

Antoinette wskazywała mu go pogardliwym gestem. Obecność męskiego kapelusza na zielonym suknie stołu zdawała się w jej oczach czymś wręcz nieprzyzwoitym.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W pewnym sensie z technicznego punktu widzenia Antoinette nie myliła się tak bardzo.

Kiedy Maigret przybył do szpitala Cochin na Faubourg Saint-Jacques, Etienne Gouin wyjechał już do kliniki Saint-Joseph w dzielnicy Passy w towarzystwie swej asystentki. Komisarz spodziewał się tego, było już przecież po jedenastej. Jego wizyta w szpitalu nie miała na celu spotkania z profesorem. Być może w głębi duszy, nie wiedząc właściwie dlaczego, nie miał jeszcze ochoty stanąć twarzą w twarz z tym człowiekiem.

Oddział Gouina znajdował się na drugim piętrze i Maigret musiał długo wyjaśniać całą sprawę, zanim pozwolono mu wejść. Na długim szpitalnym korytarzu panowało większe zamieszanie, niż się spodziewał. Zagonione i zapracowane pielęgniarki mijały go szybkim krokiem. Zwrócił się do jednej z nich, wyglądającej na nieco mniej zaaferowaną. Była to kobieta w średnim wieku o siwych już włosach.

— Czy pani jest przełożoną pielęgniarek?

— Owszem, w czasie dzisiejszego dyżuru. Komisarz przedstawił się i dodał, że chciałby zadać jej parę pytań.

— Na jaki temat?

Wahał się, czy powiedzieć od razu, że chodzi o profesora. Zaprowadziła go do drzwi jakiegoś pokoiku, ale nie zaprosiła do środka.

— Czy to pomieszczenie na końcu korytarza to sala operacyjna?

— Jedna z sal operacyjnych, zgadza się.

— Czy tam przebywa chirurg, gdy spędza część nocy w szpitalu?

— Nie rozumiem. Ma pan na myśli, kiedy przeprowadza operację?

— Nie. Jeśli się nie mylę, chirurgom zdarza się pozostawać na oddziale z innych przyczyn, na przykład gdy obawiają się jakichś komplikacji albo kontrolują wynik zabiegu?

— Zdarza się i tak. A o co panu chodzi?

— Gdzie wtedy przebywają?

— To zależy.

— Od czego?

— Od tego, ile czasu mają zostać. Jeśli niedługo, czekają w moim pokoju albo przechadzają się po korytarzu. Jeśli natomiast przewidują, że to potrwa dłużej, czy też jeśli zachodzi potrzeba szybkiej interwencji, idą na górę, gdzie mają do swojej dyspozycji parę pokojów.

— Czy na górę prowadzą jakieś schody?

— Można iść schodami albo jechać windą. Te pokoje znajdują się na czwartym piętrze. Chirurdzy na ogół odpoczywają tam tak długo, aż zostaną wezwani do chorego.

Pielęgniarka najwyraźniej nie rozumiała, do czego zmierzają te pytania. Gazety nie łączyły śmierci Lulu z nazwiskiem profesora. W szpitalu prawdopodobnie nic nie wiadano o związku Gouina z narzeczoną pewnego muzyka imieniem Pierrot.

— Jak sądzę, trudno mi będzie złapać teraz kogoś, kto miał dyżur przedwczoraj wieczór?

— Po ósmej?

— Tak. Właściwie interesuje mnie noc z poniedziałku na wtorek.

— Wszystkie pielęgniarki, które pracują teraz, należą do ekipy dziennej, tak jak ja, ale może jakiś praktykant miał wówczas dyżur. Proszę chwileczkę poczekać.

Wchodziła kolejno do kilku sal i w końcu wróciła z wysokim, rudym młodzieńcem o niemal kościstej budowie, z grubymi szklami na nosie.

— Ktoś z policji — przedstawiła go i poszła do swojej dyżurki, zostawiając ich obu na korytarzu.

— Komisarz Maigret — sprecyzował.

- Tak mi się właśnie wydawało. Chciałby pan uzyskać jakąś informację?
- Czy był pan w szpitalu w nocy z poniedziałku na wtorek?
- Przez większą część nocy tak. W poniedziałek po południu profesor operował dziecko, a ponieważ był to trudny przypadek, prosił mnie o ciągłą obserwację.
- Sam nie przyszedł?
- Został w szpitalu do późna w nocy.
- Był cały czas na tym samym piętrze co pan?
- Przyjechał ze swoją asystentką nieco później. Razem poszliśmy do chorego i dość długo siedzieliśmy przy nim, gdyż można się było spodziewać pewnej komplikacji, która zresztą nie nastąpiła. Nie muszę panu chyba tłumaczyć szczegółów technicznych?
- I tak bym pewnie nic z tego nie zrozumiał. Ile panowie zostaliście przy chorym, godzinę, dwie?
- Niecałą godzinę. Pani Decaux usilnie namawiała profesora, żeby się położył, gdyż poprzedniej nocy także operował jakiś nagły przypadek. W końcu poszedł odprężyć się trochę na górę.
- Jak był ubrany?
- Nie spodziewał się żadnej następnej operacji, nic się zresztą tej nocy nie wydarzyło. Był w zwykłym ubraniu.
- Czy pani Decaux dotrzymywała panu towarzystwa?
- Tak. Rozmawialiśmy trochę. Profesor zszedł do nas na krótko przed jedenastą. Doglądałem pacjenta co kwadrans. Pod koniec poszliśmy tam razem i ponieważ wszelkie niebezpieczeństwo wydawało się zażegnane, profesor zdecydował się wrócić do domu.
- Z panią Decaux?
- Przyjeżdżają i odjeżdżają niemal zawsze razem.
- A więc od za piętnaście dziewiąta do jedenastej profesor znajdował się na czwartym piętrze.
- Sam w pokoju, zgadza się. Nie mogę zrozumieć, dlaczego pan zadaje te wszystkie pytania
- Czy mógł zejść tak, żeby pan go nie widział?
- Schodami, tak.
- A czy mógł przejść na dole przed dyżurką tak, żeby go nie spostrzeżono?
- Jest to możliwe. Nikt nie zwraca uwagi na lekarzy, którzy wchodzą i wychodzą, zwłaszcza w nocy
- Dziękuję panu. Czy mógłbym spytać o nazwisko?
- Mansuy. Raoul Mansuy.
- Tak więc siostra pani Gouin właściwie się nie myliła. Etienne Gouin mógł teoretycznie opuścić szpital, pojechać na avenue Carnot i wrócić nie zauważony przez nikogo.
- Oczywiście nie mogę, jak sędzę, dowiedzieć się, dlaczego... — zaczął dopytywać się stażysta w momencie, gdy Maigret skończył rozmowę.
- Komisarz pokręcił przecząco głową i poszedł w kierunku schodów. Przed szpitalem czekało na niego niewielkie czarne auto ze służbowym kierowcą. Kiedy przybyli na Quai des Orfèvres, Maigret nie pomyślał o tym, by przez oszklone drzwi rzucić okiem, jak to zwykle robił, na poczekalnię. Postanowił wpaść do pokoju inspektorów. Lucas zwrócił się do niego:
 - Mam wiadomości z Beziers.
- Maigret niemal zapomniał o ojcu Luizy Filon.
 - Mężczyzna, o którego pan pytał, umarł trzy lata temu na marskość wątroby. Za życia pracował od czasu do czasu w rzeźni miejskiej.
 - Nikt się jeszcze nie zgłosił w sprawach spadku po Luizie, jeśli taki w ogóle istniał.
 - Niejaki Louis czeka na pana od pół godziny.
 - Muzyk.

— Tak sędzę.

— Zaprowadź go do mojego gabinetu.

Maigret wszedł tam, zdjął płaszcz i kapelusz, usiadł w fotelu i wziął do ręki jedną z licznych przygotowanych na biurku fajek. W chwilę potem wprowadzono akordeonistę. Miał niepewną minę i zanim usiadł, rozejrzał się dokoła, jakby spodziewał się zasadzki.

— Możesz nas zostawić, Lucas.

I dodał pod adresem Louisa:

— Jeśli ma pan zamiar zostać tu dłużej, to lepiej niech pan zdejmie płaszcz.

— Nie warto. Dzwonił do mnie.

— Kiedy?

— Dziś rano, gdzieś po dziesiątej.

Obserwował przez chwilę komisarza i upewnił się wahającym głosem:

— Umowa stoi nadal?

— Nasza wczorajsza umowa? Oczywiście. Jeśli Pierrot jest niewinny, nie ma się czego obawiać.

— On jej nie zabił. Mnie by się do tego na pewno przyznał. Przekazałem mu pana prośbę i wytłumaczyłem, że jest pan gotów się z nim spotkać, gdzie tylko zechce, i że potem znowu będzie wolny.

— Musimy się dobrze zrozumieć. Nie chciałbym, żeby wynikło jakieś nieporozumienie. Jeśli uznam, że jest niewinny, zostanie wypuszczony na wolność. Jeśli będę uważał, że jest winny, lub jeśli będę miał co do tego jakieś wątpliwości, zobowiązuję się nie wykorzystać naszego spotkania i puścić go wolno, ale potem na nowo podejmę poszukiwania.

— Właśnie to mu mniej więcej powiedziałem.

— Jak zareagował?

— Jest gotów zobaczyć się z panem. Nie ma nic do ukrycia.

— Przyjdzie tutaj?

— Pod warunkiem, że nie obokoczą go dziennikarze i fotoreporterzy. A także pod warunkiem, że będzie mógł spokojnie tu dojść, że policja nie złapie go na pierwszym rogu.

Louis mówił powoli, ważąc słowa i nie spuszczać oczu z Maigreta.

— Czy mogłoby to nastąpić zaraz? — zapytał komisarz.

Spojrzał na zegarek. Dochodziło południe. Od dwunastej do drugiej sale i korytarze na Quai des Orfèvres były spokojne, niemal wyludnione. Kiedy Maigret miał do przeprowadzenia jakiegoś delikatnego przesłuchanie, wybierał najchętniej tę właśnie porę.

— Może tu przyjść za pół godziny.

— A więc niech pan posłucha. Myślę, że ma przy sobie trochę pieniędzy. Niech weźmie taksówkę i przyjedzie na Quai de l'Horloge. Od tej strony ulica jest mało uczęszczana. Nikt nie zwróci na niego uwagi. Jeden z moich inspektorów będzie na niego czekał przy wejściu i przyprowadzi go do mnie przez wewnętrzne przejście Pałacu Sprawiedliwości.

Louis wstał, raz jeszcze długo spoglądał na Maigreta, w pełni świadomy odpowiedzialności za swojego przyjaciela.

— Wierzę panu — westchnął w końcu. — Za pół godziny, najpóźniej za godzinę.

Kiedy wyszedł, Maigret zadzwonił do najbliższej piwiarni i poprosił o przyniesienie mu na górę czegoś do jedzenia.

— Dla dwóch osób. I cztery piwa.

Potem zadzwonił do żony i uprzedził ją, że nie wróci na obiad.

Wreszcie powodowany zawodową uczciwością skierował się do gabinetu szefa. Wolał poinformować go o przedsięwzięciu, które zamierzał za chwilę przeprowadzić

— Czy pan uważa, że on jest niewinny?

— Nie ma żadnych dowodów przeciwko niemu. Gdyby był winny, nie miałby powodu spotykać się ze mną. Albo oznaczałoby to, że ma niezwykle silny charakter.

- Więc profesor?
- Nie wiem. Nic jeszcze nie wiem.
- Rozmawiał pan z nim?
- Nie. Janvier widział się z nim przez chwilę.

Szef czuł, że wszelkie pytania są zbędne. Maigret miał uparty i zawzięty wyraz twarzy, który tak dobrze znano na Quai des Orfèvres, i w takich momentach był jeszcze mniej rozmowny niż zazwyczaj.

- Dziewczyna była w ciąży — dorzucił tylko, jakby to coś tłumaczyło.

Wrócił do pokoju inspektorów. Lucas nie wyszedł jeszcze na obiad.

- Tego taksówkarza, który odwoził profesora do domu, pewnie jeszcze nie odnaleziono?

— Przed wieczorem nie ma żadnych szans. „Nocni” szoferzy teraz śpią.

- Może nie byłoby takie głupie poszukać dwóch taksówek

— Nie rozumiem.

— Można by przyjąć, na przykład, że przed dziesiątą wieczorem profesor kazał się zawieźć na avenue Carnot, a potem wrócił do szpitala.

- Każę to sprawdzić.

Maigret szukał wzrokiem inspektora, którego chciał wysłać po Pierrota, i wybrał młodego Lapointe'a.

— Ustawisz się na chodniku przy Pałacu Sprawiedliwości. W pewnym momencie zobaczysz, jak ktoś wysiada z taksówki. Będzie to saksofonista.

- Poddaje się?

— Przychodzi do mnie na rozmowę. Masz być dla niego grzeczny. Spróbuj go nie wystraszyć. Przyrowadź mi go przez wewnętrzne podwórko i korytarze Pałacu. Obiecałem, że nie natknie się na żadnego dziennikarza.

Rzeczywiście na Quai des Orfèvres zawsze kręcili się po korytarzach jacyś dziennikarze, ale na ogół można ich było na krótko stamtąd odciągnąć.

Kiedy Maigret wrócił do swojego gabinetu, na biurku czekały już na niego kanapki i piwo. Wypił piwo, kanapek nie ruszył. Przez kwadrans, stojąc przy oknie, wpatrywał się w płynące po szarej rzece stateczki.

W końcu usłyszał podwójne kroki, otworzył drzwi i dał znak Lapointe'owi, że może odejść.

- Proszę, niech pan wejdzie, Pierrot.

Błada twarz Pierrota, podkrążone oczy mówiły o silnym wzruszeniu. Tak jak jego przyjaciel, zaczął się najpierw rozglądać dookoła wzrokiem człowieka spodziewającego się zasadzki.

— Jesteśmy sami w pokoju, tylko pan i ja — uspokoił go Maigret. — Może pan zdjąć płaszcz. Proszę mi go dać.

Powiesił płaszcz na oparciu krzesła.

- Coś do picia?

Podał mu szklanekę piwa, sam wziął drugą.

- Niech pan usiądzie. Spodziewałem się, że pan przyjdzie.

— Dlaczego?

Głos Pierrota brzmiał ochryple, jak głos kogoś, kto w nocy nie zmrzył oka i palił papierosa za papierosem. Dwa palce prawej ręki były poźółkłe od tytoniu. Na twarzy widniał kilkudniowy zarost. Tam, gdzie się ukrywał, nie miał pewnie warunków, żeby się golić.

- Jadł pan coś dzisiaj?

— Nie jestem głodny.

Wyglądał na młodszego niż w rzeczywistości, a jego zachowanie cechowała taka nerwowość, że samo patrzenie na niego stawało się męczące. Dygotał i nie mógł się opanować nawet wtedy, gdy usiadł.

- Pan obiecał... — zaczął.
- Dotrzymam słowa.
- Przyszedłem całkowicie dobrowolnie.
- Słusznie pan zrobił.
- Nie zabiłem Lulu.

Nagle, w momencie kiedy Maigret najmniej się tego spodziewał, wybuchnął gwałtownym płaczem. Z pewnością pozwolił sobie na to po raz pierwszy od momentu, w którym dowiedział się o śmierci swojej przyjaciółki. Szlochał jak dziecko kryjąc twarz w dłoniach i komisarz czekał, nie interweniując, aż atak minie. Przecież Pierrot, odkąd w małej restauracji na bulwarze Barbès wyczytał z gazety, że Lulu nie żyje, nie miał ani jednej wolnej sekundy, aby móc o niej pomyśleć, musiał ukrywać się, w ciągłym strachu o własną skórę. W jednej chwili stał się człowiekiem osaczonym, grającym przez cały czas o wielką stawkę: o swoją wolność albo nawet o życie.

A teraz, tutaj, na Quai des Orfèvres, twarzą w twarz z przedstawicielem policyjnej maszyny, która była dla niego takim koszmarem, nagle się odprężył.

- Przysięgam panu, że jej nie zabiłem — powtórzył.

Maigret uwierzył mu. Nie był to głos ani postawa człowieka winnego. Louis miał rację, gdy poprzedniej nocy mówił o swoim przyjacielu jako o kimś słabym, kto tylko udaje mocnego.

Jasne włosy, jasne oczy, niemal lalkowata twarz — przypominał nie tyle sprzedawcę w sklepie rzeźniczym, co urzędnika, z tych, którzy w niedzielne popołudnia spacerują u boku żon po Polach Elizejskich.

- Pan naprawdę myślał, że to ja?
- Nie.

- To dlaczego tak pan powiedział dziennikarzom?

— Nic im nie powiedziałem. Oni wypisują, co im się żywnie podoba. A okoliczności wskazywały na...

- Nie zabiłem jej.
- Proszę się teraz uspokoić. Może pan zapalić, jeśli ma pan ochotę.

Ręka, w której trzymał zapalonego papierosa, ciągle mu jeszcze drżała.

— Muszę panu przede wszystkim zadać jedno pytanie. Gdy przyszedł pan w poniedziałek wieczór na avenue Carnot, czy Luiza żyła jeszcze?

Pierrot wytrzeszczył oczy.

- Naturalnie! — wykrzyknął.

Była to przypuszczalnie prawda, w przeciwnym wypadku nie zwlekałby z ucieczką do chwili przeczytania informacji w gazecie.

- Kiedy Lulu zadzwoniła do „Grelot”, czy domyślał się pan, co ma panu do powiedzenia?

— Nie miałem pojęcia. Była wyjątkowo podekscytowana i chciała natychmiast się ze mną zobaczyć.

- O czym pan pomyślał?
- Że powzięła decyzję.
- Jaką?
- Zostawienia tego wszystkiego.

- To znaczy czego?

- Myślałem, że zostawi tego starego.

- Czy prosił już ją pan o to?

- Od dwóch lat błagam, żeby zamieszkała ze mną.

Dodał z taką miną, jakby rzucał wyzwanie komisarzowi, jakby chciał zmierzyć się z całym światem:

- Kocham ją!

W jego głosie nie było egzaltacji. Przeciwnie, mówił urywanym, powolnym tonem.

— Na pewno nie chce pan nic zjeść?

Tym razem Pierrot wziął odruchowo jedną kanapkę, Maigret drugą. Dobrze, że tak się stało. Jedli teraz obaj i napięcie powoli zaczęło ustępować.

W sąsiednich pomieszczeniach panowała zupełna cisza, tylko gdzieś daleko stukła maszyna do pisania.

— Czy już kiedyś zdarzało się, że Lulu dzwoniła do pana do pracy z avenue Carnot?

— Nie. Nigdy z avenue Carnot. Raz, kiedy mieszkała jeszcze na ulicy La Fayette i kiedyś źle się poczuła... Jakaś niestrawność, ale Lulu zlekła się... Zawsze bała się śmierci...

Gdy wymawiał to słowo, które wywoływało w nim tyle obrazów, łzy napłynęły mu znów do oczu. Dopiero po chwili uspokoił się i zaczął jeść kanapkę.

— Co Lulu powiedziała panu w poniedziałek wieczorem? Chwileczkę. Zanim odpowie pan na moje pytanie, proszę mi powiedzieć, czy ma pan klucze od tego mieszkania?

— Nie.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Po prostu tak się złożyło. Rzadko ją tam odwiedzałem i zawsze wtedy otwierała mi sama.

— A więc zadzwonił pan do drzwi i Lulu otworzyła panu.

— Nie musiałem dzwonić. Czekala na mnie przy samych drzwiach i otworzyła mi, jak tylko wyszedłem z windy.

— Sądziłem, że już się położyła.

— Położyła się przedtem. Musiała dzwonić do mnie leżąc w łóżku. Wstała na krótko przed moim przyjściem i była w szlafroku.

— Wydawała się panu taka jak zawsze?

— Nie.

— Dlaczego?

— Trudno mi to wytłumaczyć. Wyglądała tak, jakby długo się nad czymś zastanawiała i miała właśnie podjąć ostateczną, decyzję. Przestraszyłem się widząc ją w tym stanie.

— Dlaczego? Pierrot zawahał się.

— No, trudno, powiem — wymamrotał cicho. — Przestraszyłem się z powodu starego.

— Nazywa pan tak profesora, jak sądzę?

— Tak. Ciągle się bałem, że on się rozwiedzie dla Lulu.

— A była o tym mowa?

— Jeśli nawet tak, nic mi o tym nie mówiła.

— Czy Lulu chciała, żeby profesor się z nią ożenił?

— Nie wiem. Nie wydaje mi się.

— Kochała pana?

— Tak myślę.

— Nie jest pan pewny?

— Sądzę, że kobiety są w takich sprawach inne niż mężczyźni.

— Co pan przez to rozumie?

Nie wytłumaczył dokładnie, być może dlatego, że nie potrafił sprecyzować swojej myśli, wzruszył tylko ramionami.

— To była biedna dziewczyna — szepnął w końcu jakby do samego siebie.

Kęsy chleba z trudem przechodziły mu przez gardło, ale nie przestawał jeść przełykając niemal automatycznie.

— Gdzie Lulu usiadła, kiedy pan wszedł do mieszkania?

— Wcale nie usiadła. Była zbyt podniecona, żeby siedzieć. Chodziła tam i z powrotem po pokoju i nagle odezwała się nie patrząc na mnie: „Mam ci do zakomunikowania bardzo

ważną wiadomość”. A potem szybko dodała, jakby chciała to z siebie zrzucić: „Jestem w ciąży”.

— Wydawała się z tego zadowolona?

— Ani zadowolona, ani niezadowolona.

— Czy pan przypuszczał, że jest to pana dziecko?

Nie miał śmiałości odpowiedzieć, ale wyczuwało się z jego zachowania, że to dla niego oczywiste.

— Jak pan zareagował?

— Milczałem. Dziwnie się czułem. Chciałem ją przytulić do siebie.

— Nie pozwoliła panu na to?

— Nie. Wciąż chodziła po pokoju. Nie dopuszczała mnie do słowa. Mówiła coś takiego: „Zastanawiam się, co zrobić. To wszystko zmienia. To może mieć ogromne znaczenie. Jeśli powiem mu o tym...”

— Miała na myśli profesora?

— Tak. Nie mogła się zdecydować, czy ma mu to powiedzieć, czy nie. Nie wiedziała, jak stary zareaguje.

Pierrot skończył swoją kanapkę i westchnął zniechęcony:

— Nie mam pojęcia, jak to panu wytłumaczyć. Pamiętam najdrobniejsze szczegóły, a jednocześnie wszystko mi się miesza. Nigdy nie myślałem, że to się tak skończy.

— Na co pan liczył?

— Że rzuci mi się w końcu na szyję i oświadczy, że zdecydowała się być ze mną.

— A nigdy nie przyszedł jej taki pomysł do głowy?

— Być może tak. Jestem niemal pewny, że tak. Miała na to ochotę. Na początku tej całej historii, kiedy wyszła ze szpitala, twierdziła, że jakoby musi tak postępować z wdzięczności za wszystko, co dla niej zrobił.

— Uważała, że ma wobec profesora jakiś dług do spłacenia?

— Uratował jej życie. Myślę, że żadnemu ze swoich chorych nie poświęcił tyle czasu co jej.

— Uwierzył pan w to?

— W co?

— Uwierzył pan, że to z wdzięczności?

— Powiedziałem Lulu, że nikt jej przecież nie zmusza, żeby została jego kochanką. On ma dość innych.

— Myśli pan, że był w niej zakochany?

— Zależało mu na niej, to na pewno. Myślę, że bardzo go pociągała.

— A pana?

— Ja ją kochałem.

— Właściwie dlaczego ściągnęła wtedy pana do siebie?

— Ja też często się nad tym zastanawiałem.

— Około wpół do szóstej owego dnia lekarz z ulicy des Dames stwierdził z całą pewnością, że Lulu jest w ciąży. Czy nie mogła wtedy przyjść do pana?

— Owszem. Wiedziała, gdzie zwykle jadam obiad przed pójściem do „Grelot”.

— Wróciła do siebie. Między wpół do ósmej a ósmą był u niej przez chwilę profesor.

— Mówiła mi o tym.

— A powiedziała panu również, czy obwieściła mu nowinę?

— Nie pisnęła mu o tym ani słówka.

— Zjadła coś i położyła się. Prawdopodobnie nie spała. Koło dziewiątej zadzwoniła do pana.

— Tak, wiem o tym wszystkim. Zastanawiałem się wielokrotnie usiłując coś z tego zrozumieć. Ciągle jeszcze mi się to nie udaje. Jestem pewny tylko jednego: ja jej nie zabiłem.

— Proszę mi szczerze odpowiedzieć na to pytanie, Pierrot: czy gdyby w poniedziałek wieczór Lulu oświadczyła panu, że nie chce się już z panem spotykać, zabiłby ją pan?

Muzyk spojrział na niego z niewyraźnym uśmiechem.

— Chce pan, żebym sam sobie założył stryczek na szyję?

— Nie musi mi pan odpowiadać.

— Być może zabiłbym ją. Ale, po pierwsze, nie powiedziała mi tego. Po drugie, nie miałem rewolweru.

— A przecież znaleziono przy panu broń, kiedy został pan zatrzymany ostatnim razem.

— To było kilka lat temu i policja mi jej nie zwróciła. Od tego czasu nie mam żadnej broni. I mogę jeszcze dodać, że nie zabiłbym jej w ten sposób.

— A jak?

— Sam .nie wiem. Może uderzyłbym ją i zabił niechcący albo udusił?

Utkwił wzrok w podłodze i po przerwie dorzucił cicho i niewyraźnie:

— Może także nic bym nie zrobił. Są rzeczy, o których człowiek myśli sobie przed zaśnięciem, ale nigdy ich nie robi.

— Zdarzyło się panu pomyśleć przed zaśnięciem, że chce pan zabić Lulu?

— Tak.

— Z zazdrości o Gouina?

Pierrot znowu wzruszył ramionami, co miało zapewne oznaczać, że słowa nic tu nie znaczą, że prawda jest dużo bardziej skomplikowana.

— Jeśli się nie mylę, był pan przyjacielem Luizy Filon jeszcze przed historią z profesorem Gouin i nie bronił jej pan uprawiania prostytucji.

— To co innego.

Maigret starał się dojść prawdy, ale zdawał sobie sprawę, że prawda absolutna jest nieuchwytna.

— Nigdy pan nie korzystał z pieniędzy profesora?

— Nigdy! — nagle gestem podniósł głowę, przez chwilę wydawało się, że nie zapanuje nad gwałtownym wybuchem gniewu.

— A Luiza nie dawała panu prezentów?

— Jakieś drobiazgi, sygnety, krawaty, skarpetki.

— Przyjmował pan to?

— Nie chciałem sprawiać jej przykrości.

— Co byście zrobili, gdyby zerwała z profesorem?

— Żylibyśmy razem.

— Tak jak kiedyś?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo nigdy mi się to nie podobało!

— Z czego byście żyli?

— Przecież ja pracuję i zarabiam na życie.

— Niewiele, według tego, co mówił mi Louis.

— To prawda, niewiele. Ale nie miałem zamiaru siedzieć dalej w Paryżu.

— A gdzie miał pan zamiar wyjechać?

— Byle gdzie, do Ameryki Południowej albo do Kanady.

Był jeszcze bardziej dziecinny i naiwny, niż Maigret to sobie wyobrażał.

— Czy te plany odpowiadały Lulu?

— Czasami ją to kusilo i obiecywała mi, że wyjedziemy za miesiąc czy dwa.

— Planowała tak zwykle wieczorami, jak sądzę?

— Skąd pan wie?

— A rano widziała wszystko w bardziej realnym świetle?

— Bała się.

— Czego?

— Że zdechniemy z głodu.

A więc nareszcie doszli do tego. W głosie Pierrota wbrew jego woli zabrzmiał żal.

— Czy nie myśli pan, że Lulu związała się z profesorem, gdyż właśnie tego się obawiała?

— Może.

— Często w życiu bywała głodna, prawda?

— Ja także! — natychmiast wykrzyknął Pierrot z wyzwaniem w głosie.

— Ale ona bała się, że znowu będzie głodować.

— Co pan chce udowodnić?

— Jeszcze nic. Na razie tylko usiłuję zrozumieć. Jedno jest pewne: w poniedziałek wieczorem ktoś strzelił z bliska do Lulu. Pan twierdzi, że nie jest pan tą osobą, i ja panu wierzę.

— Na pewno pan mi wierzy? — wyszeptał Pierrot ze zdumieniem.

— Chyba że zdobędę jakiś dowód przeciwko panu.

— I pozwoli mi pan odejść?

— Jak tylko skończymy naszą rozmowę.

— Każe pan odwołać poszukiwania, policja zostawi mnie w spokoju?

— Pozwolę panu nawet, żeby pan podjął pracę w „Grelot”.

— A dziennikarze?

— Zaraz nadam w komunikacie, że zgłosił się pan dobrowolnie na policję i że po złożeniu wyjaśnień został pan wypuszczony na wolność.

— To jeszcze nie oznacza, że jestem wolny od podejrzeń.

— Dodam, że nie ma przeciwko panu żadnego dowodu.

— To już lepiej.

— Czy Lulu miała jakiś rewolwer?

— Nie.

— Przed chwilą wspominał pan, że się bała.

— Bała się życia, nędzy, ale nie ludzi. Rewolwer nie był jej do niczego potrzebny.

— W poniedziałek wieczór został pan u niej niewiele ponad kwadrans, prawda?

— Musiałem wracać do „Grelot”. Poza tym nie lubiłem tam długo siedzieć wiedząc, że stary może w każdej chwili wejść. Ma klucze.

— A już kiedyś tak się stało?

— Raz.

— Jak się to odbyło?

— Nijak. Było to któregoś popołudnia, on nigdy nie przychodził do Lulu o tej porze. Umówiliśmy się o piątej na mieście, ale coś mi wypadło i nie mogłem przyjść. Załatwiałem akurat coś niedaleko i wskoczyłem do niej. Siedzieliśmy oboje w salonie i rozmawialiśmy, nagle słyszymy, jak ktoś przekręca klucz w zamku. Wszedł stary. Nie miałem zamiaru się chować. Nawet na mnie nie spojrział. Wszedł do pokoju nie zdejmując kapelusza i czekał bez słowa. Trochę tak, jakbym w ogóle nie istniał.

— Więc właściwie ciągle pan nie wie, dlaczego Lulu prosiła pana o przyjście w poniedziałek wieczór?

— Myślę, że odczuwała potrzebę, żeby o tym z kimś porozmawiać.

— Jak zakończyła się wasza rozmowa?

— Powiedziała mi: „Chciałam, żebyś o tym wiedział, nie mam pojęcia, co zrobię. Tak czy inaczej jeszcze nic nie widać. Ty także to przemyśl”.

— Czy Lulu nigdy panu nie wspominała o ślubie z profesorem?

Wyraźnie usiłował się skupić.

— Raz, kiedy siedzieliśmy w restauracji na bulwarze Rochechouard i rozmawialiśmy o jednej znajomej dziewczynie, która właśnie wyszła za mąż, Lulu powiedziała: „Tylko ode mnie zależy, żeby rozwiódł się z żoną i ożenił ze mną”.

— Uwierzył jej pan?

— Może rzeczywiście tak by zrobił. Mężczyźni w tym wieku są zdolni do wszystkiego.

Maigret nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Nie pytam pana, gdzie się pan od wczoraj ukrywał.

— Tego panu nie powiem. Czy jestem wolny?

— Całkowicie.

— Pana ludzie nie zatrzymają mnie przy wyjściu?

— Faktycznie, lepiej, żeby pan został przez najbliższą godzinkę w tej dzielnicy i nie pokazywał się zbyt często, muszę mieć trochę czasu na wydanie rozkazów. Na placu Dauphine jest taka piwiarnia, gdzie będzie pan bezpieczny.

— Mogę wziąć płaszcz?

Teraz, gdy już się uspokoił, wydawał się bardziej zmęczony niż na początku rozmowy.

— A najlepiej by było, gdyby wynajął pan pokój w najbliższym hotelu i położył się spać.

— I tak bym nie zasnął. Odwrócił się na progu.

— Co z tym — zrobicie? Maigret zrozumiał.

— Jeżeli nikt nie zażąda wydania zwłok... — zaczął.

— A czy ja mam prawo zażądać?

— Wobec braku rodziny...

— Powie mi pan, jak mam to załatwić?

Chciał urządzić Lulu przyzwoity pogrzeb i za trumną pójść na pewno ich wspólni przyjaciele z restauracji i z dzielnicy Barbès.

Maigret patrzył, jak zmęczona postać oddała się długim korytarzem, a potem zamknął powoli drzwi i przez chwilę stał nieruchomo pośrodku gabinetu.

Po kilku minutach udał się do pokoju inspektorów.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dochodziła szósta, kiedy służbowy samochód Policji Kryminalnej zatrzymał się na avenue Carnot, naprzeciwko budynku, w którym mieszkali państwo Gouin. Zmrok zapadł wcześniej i tego dnia, podobnie jak w ciągu trzech poprzednich, słońce w ogóle nie przebiło się przez chmury.

U konsjerżki paliło się światło. Paliło się także na czwartym piętrze u profesora, w lewej części apartamentu. ‘Tu i ówdzie widać było również oświetlone okna innych mieszkań.

Niektóre z nich stały chwilowo puste. Państwo Ottrebou na przykład, Belgowie pracujący w banku, wyjechali na zimę do Egiptu. Mieszkający na drugim piętrze książę de Tavera spędzał wraz z rodziną sezon myśliwski w swoim zamku nad Loarą.

Unieruchomiony na tylnym siedzeniu samochodu, w ubraniu, które mu krępowało ruchy, z fajką wystającą spoza podniesionego kołnierza płaszcza, Maigret siedział bez słowa i wydawał się w tak złym humorze, że po kilku minutach kierowca wyjął z kieszeni gazetę pytając szeptem:

— Pan pozwoli?

Dziwne, że mógł czytać przy świetle gazowej latarni.

Maigret nie opuszczał ten nastrój przez całe dzisiejsze popołudnie. Trudno to nazwać dosłownie złym humorem, jego współpracownicy wiedzieli o tym, ale rezultat był taki sam i na Quai des Orfèvres rozpuszczono już wszędzie wici, żeby mu nie przeszkadzać.

Nie ruszył się na krok ze swojego biura, jedynie dwa czy trzy razy pokazał się przez chwilę w pokoju inspektorów patrząc na nich takim wzrokiem, jakby zapomniał, po co tu przyszedł.

Polikwidował zaległe od tygodni sprawy tak energicznie, jak robił to zazwyczaj w wypadkach wyjątkowo pilnych. Około wpół do piątej zadzwonił do szpitala w Neuilly.

— Czy profesor Gouin teraz operuje?

— Tak. Na pewno nie skończy przed godziną. Kto mówi?

Odłożył słuchawkę i raz jeszcze przeczytał raport Janviera z przesłuchania lokatorów domu przy avenue Carnot. Nikt nie usłyszał wystrzału. Na tym samym piętrze co Luiza Filon, tylko po prawej stronie, mieszkała pani Mettefal, wdowa w dość młodym wieku, która poniedziałkowy wieczór spędziła w teatrze. Piętro niżej państwo Cremieux wydawali kolację na dwanaście osób, przyjęcie było huczne i hałaśliwe.

Maigret zaczął pracować nad jakąś inną sprawą, potem bez wyraźnej przyczyny zadzwonił do paru osób

O wpół do szóstej, kiedy ponownie połączył się ze szpitalem w Neuilly, odpowiedziano mu, że operacja się skończyła, a profesor już się ubiera. Wtedy właśnie wsiadł do samochodu.

Avenue Carnot była ulicą mało uczęszczaną, rzadko też przejeżdżały nią samochody. Maigret dojrzał poprzez ramię kierowcy duży tytuł na pierwszej stronie gazety: „Muzyk Pierrot na wolności”.

Informację tę, zgodnie z obietnicą, przekazał reporterom komisarz. Na tablicy rozdzielczej samochodu słabo oświetlona tarcza zegara wskazywała dwadzieścia po szóstej. Gdyby gdzieś tu w pobliżu był jakiś bar, poszedłby się czegoś napić, żałował teraz, że nie zatrzymali się w tym celu po drodze.

Dopiero za dziesięć siódma przed domem stanęła jakaś taksówka. Etienne Gouin wysiadł pierwszy i przez chwilę nieruchomo czekał, aż wysiadzie z kolei jego asystentka.

Znajdował się w zasięgu światła latarni i jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle ulicy. Był chyba o jakieś pół głowy wyższy od Maigreta i niemal tak samo szeroki w ramionach. Trudno by ocenić tuszę profesora, bo wiatr rozwiewał jego płaszcz, na oko za duży dla niego i za długi jak na tegoroczną modę. Gouin niewiele chyba dbał o swój wygląd zewnętrzny, także

kapelusz został włożony byle jak i sterczał krzywo nad czołem. Robił wrażenie mężczyzny niegdyś tęgiego, który schudł, o czym teraz świadczyła jedynie silna budowa kości.

Czekał bez zniecierpliwienia, wpatrując się roztargnionym wzrokiem w jakiś punkt w przestrzeni, podczas gdy towarzysząca mu kobieta wyjmowała z torebki pieniądze, aby zapłacić taksówkarzowi. Gdy samochód oddalił się, Gouin słuchał przez chwilę, jak coś do niego mówiła. Prawdopodobnie przypominała mu o jutrzejszych wizytach.

Doszła z nim do bramy, tutaj podała mu teczkę z ciemnej skóry, którą dotąd trzymała w ręku, patrzyła, jak idzie w stronę windy, i wreszcie oddaliła się w kierunku placu des Temes.

— Jedź za nią.

— Dobrze, szefie.

Samochód jechał powoli w dół ulicy.

Lucile Decaux szła szybko, nie oglądając się. Była niewysoka, ciemnowłosa i, jeśli można było coś w tych warunkach dojrzeć, dość korpulentna. Skręciła przy ulicy des Acacias i weszła do narożnej garmażerii, potem do piekarni i w końcu, po przebyciu około stu metrów, do bramy nieco zniszczonej kamienicy.

Maigret został jeszcze około dziesięciu minut w samochodzie, zanim ruszył do mieszkania konsjerżki tego domu. Było to pomieszczenie o znacznie niższym standardzie niż na avenue Carnot, zagracone przez szeroki tapczan i dzieciinne łóżeczko.

— Pani Decaux?

— Czwarte piętro na prawo. Dopiero co przyszła.

Windy nie było. Nacisnął dzwonek i Usłyszał zbliżające się kroki. Jakiś głos zapytał po drugiej stronie drzwi:

— Kto tam?

— Komisarz Maigret.

— Chwileczkę.

Głos nie wydawał się ani zdziwiony, ani przestraszony Kroki oddaliły się i pani Decaux otworzyła dopiero po kilku minutach. Maigret zrozumiał dlaczego, gdy zobaczył ją w peniuarze i w domowych pantoflach.

— Niech pan wejdzie — powiedziała patrząc na niego z ciekawością.

Mieszkanie składające się z trzech pokoi i kuchni było utrzymane w niezwyklej czystości, podłoga wyfroterowana tak, że można by się na niej ślizgać. Maigret wszedł do salonu, stała tu kanapa pokryta prążkowanym obiciem, półki wypełnione książkami, adapter i stopy płyt. Nad kominkiem, gdzie przed chwilą rozpalono ogień, wisiała oprawiona w ramki fotografia Etienne Gouina.

— Czy mogę zdjąć płaszcz?

— Bardzo proszę. Właśnie przebierałam się, gdy pan zadzwonił.

Nie była ładna. Rysy miała nieregularne, usta zbyt wydatne, ale z całej postaci emanowało wiele uroku.

— Przeszkadzam w kolacji?

— Nic nie szkodzi. Niech pan siada.

Wskazała mu ręką fotel, sama usadowiła się na brzegu kanapy, zakrywając połamami szlafroka gołe kolana.

Nie stawiała mu żadnych pytań, obserwowała go tylko tak, jak niektórzy ludzie obserwują jakąś znaną osobistość, gdy nieoczekiwanie ujrzą ją „na żywo”.

— Nie chciałem przeszkadzać pani w szpitalu.

— Przyszłoby to panu z trudnością, byłam cały czas na sali operacyjnej.

— Czy pani zwykle asystuje przy operacjach profesora?

— Zawsze.

— Od dawna?

— Od dziesięciu lat. Przedtem byłam jego studentką.’

- Pani ukończyła medycynę?
- Tak.
- Czy mogę zapytać, ile pani ma lat?
- Trzydzieści sześć.

Odpowiadała bez żadnych zahamowań, głosem dość obojętnym, Maigret czuł niemniej jakiś brak zaufania z jej strony, być może nawet pewną wrogość.

— Przyszedłem, żeby wyjaśnić parę punktów w śledztwie, jakie prowadzę. Zapewne wiadomo pani, że u nas wszystko musi być sprawdzane.

Czekała spokojnie na pierwsze pytanie.

— Jeśli się nie mylę, w poniedziałek wieczór przyjechała pani do szefa na avenue Carnot przed godziną ósmą.

— Zgadza się. Złapałam taksówkę i zadzwoniłam od konsjerżki mówiąc profesorowi, że czekam na dole.

— Zawsze pani tak robi?

— Owszem. Wchodzę na górę tylko w wypadku, kiedy mam coś do zrobienia w gabinecie profesora albo kiedy muszę wziąć jakieś dokumenty.

— Gdzie pani na niego czeka?

— Przed drzwiami windy.

— A więc wie pani, że zatrzymał się po drodze?

— Zatrzymał się przez kilka minut na trzecim piętrze. Przypuszczam, że zna pan całą sprawę?

— Znam.

— Dlaczego nie spytał pan samego profesora?

Maigret wolał nie odpowiadać.

— Czy pani szef zachowywał się tak jak zwykle? Czy nie wydawał się czymś zatroskany?

— Wyłącznie stanem swojego pacjenta.

— Nic nie mówił w taksówce?

— On nie jest rozmowny.

— Przyjechaliście do szpitala Cochin kilka minut po ósmej. Co działo się wówczas?

— Weszliśmy natychmiast do pokoju chorego w towarzystwie dyżurnego lekarza.

— Czy spędziliście tam cały wieczór?

— Nie. Profesor został w pokoju mniej więcej pół godziny, gdyż istniała możliwość wystąpienia pewnych komplikacji. Powiedziałam mu, że lepiej będzie, jak pójdzie odpocząć.

— Która to była godzina?

— Wiem, że zadał już pan to pytanie w szpitalu.

— Powiedziała to pani pielęgniarka dyżurna?

— Nieważne kto.

— A więc o której godzinie profesor poszedł na czwarte piętro?

— Przed dziewiątą.

— Pani z nim nie poszła?

— Zostałam z chorym. To dziecko.

— Wiem. O której profesor zszedł z powrotem?

— Ja poszłam na górę uprzedzić go, że nastąpiło to, czego się spodziewał.

— Weszła pani do pokoju, gdzie spał?

— Tak.

— Czy był ubrany?

— W szpitalu profesor kładzie się zazwyczaj w ubraniu. Zdjął tylko marynarkę i rozluźnił krawat.

— Więc pani od wpół do dziewiątej do jedenastej siedziała cały czas przy chorym. Wobec tego profesor mógł zejść schodami i opuścić szpital bez pani wiedzy?

Musiała się spodziewać tego pytania, gdyż Maigret dopytywał się już o to w szpitalu, co z pewnością jej powtórzono. Mimo to jej oddech stał się szybszy. Czy przygotowała sobie z góry odpowiedź?

— To byłoby niemożliwe, bo weszłam do niego piętnaście po dziesiątej zapytać, czy niczego nie potrzebuje.

Maigret nie podnosząc głosu zapytał ją łagodnie, patrząc jej prosto w oczy:

— Pani kłamie, prawda?

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Czuję, że pani kłamie. Niech pani posłucha, mogę z łatwością odtworzyć wszystko to, co pani robiła w szpitalu owego wieczora. Nawet jeśli wyuczyła pani na pamięć cały personel, zawsze ktoś się spłoszy i powie prawdę. Nie wchodziła pani na górę przed jedenastą.

— Profesor nie opuścił szpitala.

— Skąd pani to wie?

— Bo znam go lepiej niż ktokolwiek.

Wskazała na leżące obok wieczorne wydanie gazety.

— Właśnie ją przeczytałam. Dlaczego zwolniliście tego chłopca?

Mówiła o Pierrocie, którego nazwisko, do góry nogami, mógł Maigret dojrzeć ze swojego miejsca.

— Jest pan przekonany, że to nie on?

— O niczym nie jestem przekonany.

— Ale podejrzewa pan profesora o zamordowanie tej dziewczyny.

Zamiast odpowiedzi, zapytał:

— Znała ją pani?

— Zapomina pan, że jestem asystentką profesora Gouin. Byłam przy operacji tej dziewczyny

— Nie lubiła jej pani?

— Dlaczego miałabym jej nie lubić?

Zauważyła, że Maigret trzyma w ręku fajkę, i powiedziała:

— Może pan zapalić. Nie przeszkadza mi to.

— Czy to prawda, że między profesorem a panią istnieje więź bardziej osobista niż kontakty zawodowe?

— To także panu powiedzieli?

Uśmiechnęła się z pewną pobłażliwością.

— Czy pan ma bardzo mieszczańskie poglądy, komisarzu?

— To zależy, co pani przez to rozumie.

— Usiłuję dowiedzieć się, czy pana poglądy dotyczące tradycyjnej moralności są bardzo wsteczne.

— Miła pani, niedługo upłynie trzydzieści pięć lat mojej pracy w policji.

— Więc niech mi pan nie opowiada historii o osobistych związkach. Owszem, wiązały nas osobiste kontakty wynikające ze wspólnej pracy. Reszta nie ma żadnego znaczenia.

, — Czy to oznacza, że te związki nie mają nic wspólnego z miłością?

— Na pewno nie w takim sensie, w jakim pan rozumie to słowo. Podziwiam profesora Gouin jak nikogo innego na świecie. Staram mu się pomóc w miarę moich możliwości. Dziesięć, dwanaście, a czasami więcej godzin na dobę jestem przy nim i często on sam tego nie zauważa, tak bardzo stało się to dla nas rzeczą naturalną. Wiele razy zdarza się nam spędzić razem noc w oczekiwaniu na jakieś komplikacje pooperacyjne u chorego. Kiedy profesor przeprowadza operację gdzieś na prowincji albo za granicą, ja zawsze mu towarzyszę. Ja płacę za taksówki, którymi poruszamy się po Paryżu, ja przypominam mu o umówionych wizytach, ja dzwonię do jego żony, że profesor nie wróci na noc do domu.

Dawno temu, na samym początku, stało się to, co zwykle dzieje się z mężczyzną i kobietą, kiedy przebywają stale razem. On nie przywiązywał do tego wagi. Postępował tak samo z pielęgniarkami i z wieloma innymi kobietami ze swego otoczenia.

— Pani również nie przywiązywała do tego wagi?

— W najmniejszym nawet stopniu.

Patrzyła mu prosto w oczy, jakby rzucając mu wyzwanie czy też oczekując, że zaprzeczy jej słowom.

— Nigdy pani nie była zakochana?

— W kim?

— W jakimkolwiek mężczyźnie. Na przykład w profesorze.

— Nie w takim sensie, jaki pan nadaje temu wyrażeniu.

— Ale poświęciła pani życie profesorowi?

— Tak.

— Czy to on wybrał panią na swoją asystentkę, gdy skończyła pani studia?

— Ja sama wysunęłam swoją kandydaturę. Myślałam o tym od pierwszego wykładu Gouina, na który poszłam.

— Powiedziała pani, że na początku między wami się coś wydarzyło. Czy mam rozumieć, że to należy już do przeszłości?

— Jest pan wspaniałym spowiednikiem, komisarzu. To zdarza się nam jeszcze czasami przy okazji.

— U pani?

— Jego noga tu nie powstała. Nie wyobrażam sobie, by mógł zrobić te cztery piętra na piechotę i wejść do mojego mieszkania.

— W szpitalu?

— Czasami. Czasami także u niego w domu. Zapomina pan, że jestem jego sekretarką i że często spędzamy wspólnie pół dnia na avenue Carnot.

— Czy pani dobrze zna jego żonę?

— Spotykamy się niemal codziennie.

— Jak się układają wasze stosunki?

Miał przez chwilę wrażenie, że spojrzała na niego z gniewem.

— Obojętnie — rzuciła.

— Z obu stron?

— Do czego usiłuje mnie pan nakłonić?

— Do wyjawienia prawdy.

— No więc powiedzmy, że pani Gouin traktuje mnie w ten sam sposób, w jaki traktuje swoją służbę. Z pewnością sama musi się cały czas przekonywać, że jest żoną profesora. Pan ją widział?

Maigret raz jeszcze uchylił się od odpowiedzi.

— Dlaczego pani szef ożenił się z nią?

— Żeby nie żyć samemu, jak przypuszczam.

— Pani została przedtem jego asystentką, prawda?

— Kilka lat przedtem.

— Czy to jest dobre małżeństwo?

— On nie należy do ludzi, którzy by się z kimkolwiek kłócili, i posiada wyjątkowe zdolności do ignorowania innych.

— Ignoruje swoją żonę?

— Spożywa w jej towarzystwie pewną ilość posiłków.

— To wszystko.

— Z tego, co wiem, to tak.

— Jak pani sądzi, dlaczego ona za niego wyszła?

— Niech pan nie zapomina, że była wówczas zwykłą pielęgniarką. Profesor ma opinię człowieka bogatego.

— A jest bogaty?

— Zarabia dużo pieniędzy. Nie zwraca na to uwagi.

— Posiada więc znaczny majątek?

Skinęła potakująco głową i rozprostowała nogi, nie zapominając znowu obciągnąć szlafroka.

— W sumie więc, według pani, nie jest szczęśliwy w małżeństwie.

— Nie, to nie jest zupełnie tak. Jego żona nie byłaby zdolna unieszczęśliwić go.

— A Lulu?

— Lulu także nie, takie jest przynajmniej moje przekonanie.

— Jeśli nie był w niej zakochany, to jak wytłumaczyć, że przez ponad dwa lata...

— Ja nie umiem tego panu wytłumaczyć. Sam pan musi to przemyśleć i zrozumieć.

— Ktoś mi powiedział, że go pociągała.

— Kto?

— A to nieprawda?

— To prawda i nieprawda jednocześnie. Stała się czymś, co do niego należało.

— Ale nie rozwiódłby się dla niej?

Spojrzała na niego z osłupieniem.

— Nigdy w życiu! — zaprotestowała. — On by nie komplikował sobie życia jakimiś rozwodami.

— Dla pani także nie?

— Ani przez sekundę nie myślał o ślubie ze mną.

— A pani?

Zaczerwieniła się.

— Ja także nie. Co by mi z tego przyszło? — Przeciwnie, straciłabym tylko. Widzi pan, ja miałam i mam nadal najlepszą część. Profesor nie robi beze mnie niemal niczego. Uczestniczę w jego pracach. Poznaję jego publikacje w miarę, jak je pisze, i to ja często przeprowadzam badania. Nie zdarza mu się pojechać gdzieś taksówką, jeśli mnie nie ma obok.

— Boi się nagłej śmierci?

Wydawała się zadziwiona przenikliwością i intuicją Maigreta.

— Tak, to prawda, od kilku lat, od czasu wykrycia jakiejś wady serca. Przebadał się wówczas u paru swoich kolegów. Być może nie wie pan — o tym, ale większość lekarzy bardziej przeraża się swoją chorobą niż ich pacjenci.

— Wiem o tym.

— Nigdy mi nic nie wspominał na ten temat, ale z biegiem lat nabrał zwyczaju przebywania zawsze z kimś.

— Gdyby atak złapał go w taksówce na przykład, co pani mogłaby zrobić?

— Nic: Ale rozumiem go.

— Więc przeraża go myśl o samotnej śmierci.

— Panie komisarzu, po co właściwie pan przyszedł do mnie?

— Być może po to, żeby nie zawracać niepotrzebnie głowy pani szefowi. Jego kochanka została zamordowana w poniedziałek wieczór.

— Nie lubię tego słowa. Nie odpowiada stanowi faktycznemu.

— Używam go w takim sensie, jaki mu się zwykle nadaje. Gouin miał fizyczną możliwość popełnienia zbrodni. Jak sama pani to przed chwilą przyznała, od za piętnaście dziewięta do jedenastej przebywał w szpitalu sam na czwartym piętrze. Mógł z powodzeniem wyjść i kazać się zawieźć na avenue Carnot.

— Przede wszystkim, gdyby pan go znał, nie przyszłoby nawet panu do głowy, że mógłby kogoś zabić.

— Owszem! — zaproponował Maigret.

Jego głos brzmiał tak kategorycznie, że Lucile Decaux spojrzała na niego ze zdumieniem, nie ośmielając się zaprotestować.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Zgadza się pani z poglądem, że jego praca, jego kariera, jego badania naukowe, jego działalność medyczna czy pedagogiczna, może to pani nazwać, jak pani chce, jest jedyną rzeczą, posiadającą w jego oczach jakąś wartość

— W pewnej mierze tak.

— W dużo szerszym zakresie niż u jakiegokolwiek innego znanego mi człowieka. Ktoś charakteryzując profesora użył sformułowania „siła natury”. Tym razem nie zapytała, kto to był.

— Siły natury mało dbają o szkody, które wyrządzają. Jeśli Lulu, z takiej czy innej przyczyny, stała się zagrożeniem dla jego działalności zawodowej...

— W czym mogłaby zagrażać jego pracy?

— Czy wiadomo pani, że Lulu była w ciąży?

— A to zmieniało sytuację?

Nie wydawała się zdziwiona.

— Pani o tym wiedziała?

— Profesor mi powiedział.

— Kiedy?

— W zeszłą sobotę.

— Jest pani pewna, że mówił o tym w zeszłą sobotę?

— Absolutnie pewna. Wracaliśmy taksówką ze szpitala. Powiedział mi, jak o wielu innych rzeczach, do których nie przywiązuje wagi, tak jakby mówił sam do siebie: „Wydaje mi się, że Lulu jest w ciąży”.

— Jakim tonem to mówił?

— Normalnym. Raczej ironicznym, jak to miał w zwyczaju. Widzi pan, wiele rzeczy, które innym ludziom wydają się szalenie istotne, dla niego nie mają żadnego znaczenia.

— Dziwi mnie tylko to, że profesor mówił to pani w sobotę, a Lulu dowiedziała się o tym dopiero w poniedziałek około szóstej wieczorem.

— Zapomina pan, że on jest lekarzem i że żył z nią.

— Czy pani sądzi, że powiedział o tym także swojej żonie? ‘

— To wykluczone.

— Przypuśćmy, że Luiza Filon wbiła sobie do głowy, że wyjdzie za profesora.

— Nie myślę, żeby wpadła na taki pomysł. A jeśli nawet tak, to on by jej nie zabił. Pan idzie złą drogą, komisarzu. Być może człowiek, którego wypuściliście na wolność, także nie jest prawdziwym winowajcą, nie upieram się przy tym. On również nie miał właściwie powodu, żeby zabijać tę dziewczynę.

— Chyba że z miłości, jeśli zagroziła mu, że z nim zerwie.

Wzruszyła ramionami.

— Dalej pan błądzi.

— A pani ma jakieś zdanie na temat prawdziwego winowajcy?

— Nie zastanawiałam się.

Maigret wstał, żeby oczyścić fajkę, i machinalnie dorzucił dREW do kominka, jakby był u siebie.

— Pomyślała pani o jego żonie? — zapytał obojętnym głosem, odwrócony do niej tyłem.

— O nikim nie myślałam.

— Nie lubi jej pani?

Jak by mogła ją lubić? Germaine Gouin była zwykłą pielęgniarką, córką rybaka, i z dnia na dzień stała się oficjalną żoną profesora, podczas gdy ona, Lucile Decaux, która poświęciła mu życie i stała się niezbędna przy prowadzeniu jego badań, nadal jest jego asystentką. Co wieczór wracając ze szpitala wysiadała wraz z nim z taksówki, ale mówiła mu tylko dobranoc i wracała do swojego mieszkania na ulicy des Acacias, profesor tymczasem szedł na górę do żony.

— Czy pani ją podejrzewa?

— Nigdy tego nie powiedziałam.

— Ale pomyślała pani?

— Myślę, że stara się pan za wszelką cenę odtworzyć każdy krok mojego szefa z poniedziałkowego wieczoru, natomiast wcale pana nie obchodzi, co ona robiła w tym czasie.

— Skąd pani to wie?

— Rozmawiał pan z nią?

— Dowiedziałem się w każdym razie, nieważne jak, że spędziła ten wieczór ze swoją siostrą. Czy pani zna Antoinette?

— Osobiście nie. Profesor wspominał mi o niej.

— Nie lubi jej?

— To ona go nienawidzi. Profesor powiedział mi raz, że jeśli przypadkowo by się spotkali, Antoinette plunęłaby mu w twarz.

— Czy wiadomo jest pani coś jeszcze o pani Gouin?

— Nic! — rzuciła sucho.

— Nie ma kochanka?

— Z tego, co wiem, to nie. A poza tym, nie obchodzi mnie to.

— Jeśli to ona zabiła, to czy należy do tego typu kobiet, które pozwolą na skazanie męża?, Lucile Decaux milczała; komisarz nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Niech pani przyzna, nie miałyby pani nic przeciwko temu, żeby się okazało, że to ona zabiła Lulu, i żeby policja to wykryła.

— Jestem tylko pewna, że to nie profesor ją zabił.

— Mówił pani o tej tragedii?

— We wtorek rano nie. Nic jeszcze nie wiedział. Po południu powiedział mimochodem, że ktoś z policji z pewnością zadzwoni do niego i poprosi o spotkanie.

— A potem?

— Nie wspomniął już ani słowem.

— Czy śmierć Luizy nie poruszyła go?

— Jeśli był tym przejęty, to nie dał nic po sobie poznać. Zachowuje się cały czas absolutnie normalnie.

— Sądzę, że nie ma pani już nic więcej do powiedzenia? Czy profesor napomykał czasami o Pierre Eyraud, muzyku?

— Nigdy.

— Czy nie przyszło pani do głowy, że mógłby być o niego zazdrosny?

— To nie jest typ mężczyzny, który mógłby być o kogokolwiek zazdrosny.

— Dziękuję bardzo i przepraszam, że opóźniłem pani kolację. Gdyby przypadkiem przypomniało się pani coś interesującego, proszę do mnie zadzwonić.

— Pan się nie umówi na rozmowę z moim szefem?

— Jeszcze nie wiem. Czy jest w domu dziś wieczór?

— To jego jedyny wolny wieczór w tygodniu.

— Co zazwyczaj wtedy robi?

— Pracuje, jak zwykle. Musi przejrzeć korekty swojej książki.

Maigret z westchnieniem włożył płaszcz.

— Dziwna z pani osoba — szepnął jakby do siebie.

— Nie mam w sobie nic nadzwyczajnego.

— Dobranoc.

— Dobranoc, panie komisarzu.

Odprowadziła go do schodów i patrzyła za nim długo.

Przed domem czekało na niego czarne auto. Kierowca zobaczywszy go otworzył drzwiczki.

Maigret o mało nie podał mu adresu mieszkania na avenue Carnot. Prędzej czy później musi się zdecydować na rozmowę w cztery oczy z Gouinem. Dlaczego odkłada to bez przerwy na później? Zdawał się krążyć wokół osoby profesora, nie odważając się do niego zbliżyć, jak gdyby ta indywidualność wywierała na niego paralizujący wpływ.

— Na Quai des Orfèvres!

O tej porze Etienne Gouin je prawdopodobnie kolację w towarzystwie swojej żony. Przejeżdżając tamtędy Maigret nie dojrzał światła w prawej części mieszkania.

Asystentka profesora myliła się co najmniej w jednym punkcie. W przeciwieństwie do tego, co twierdziła, kontakty Gouina z żoną były mniej neutralne, niż jej się to wydawało. Lucile Decaux uważała, że jej szef nie rozmawia z żoną o swojej pracy. Pani Gouin natomiast dostarczyła komisarzowi szczegółów, o których mogła się dowiedzieć jedynie od męża.

Czy jej też powiedział o swoich podejrzeniach co do odmiennego stanu Lulu?

Komisarz poprosił kierowcę o zatrzymanie się przed barem, gdzie już raz zamawiał grog. Teraz było cieplej i Maigret zamówił kieliszek wódki, chociaż o tej porze nie pijał zazwyczaj mocnych alkoholi, przypomniał sobie jednak, że to samo pił poprzedniego dnia. Jego koledzy na Quai des Orfèvres pokpiwali sobie często z tego dziwactwa. Jeśli na przykład ich szef na początku jakiegoś śledztwa zamawiał calvados, przez cały czas pił już tylko calvados, i tak bywały śledztwa z piwem, śledztwa z czerwonym winem, a nawet śledztwa z whisky.

Po wyjściu z baru był zdecydowany zadzwonić do biura i dowiedzieć się, czy jest coś nowego, a potem pojechać prosto do domu. Zmienił zamiar tylko dlatego, że ktoś rozmawiał z automatu w barze.

Po drodze nie odezwał się słowem.

— Czy będzie mnie pan jeszcze potrzebował? — zapytał kierowca, gdy wjechali już na dziedziniec gmachu policji.

— Za kilka minut chciałbym wrócić do siebie na bulwar Richard Lenoir. Chyba że skończyłeś na dzisiaj.

— Kończę dopiero o ósmej.

Maigret wszedł na górę i zapalił światło w swoim gabinecie. Drzwi otworzyły się natychmiast i ukazał się Lucas.

— Dzwonił Janin. Jest zły, że go nie zawiadomiono o odnalezieniu Pierrota.

Wszyscy zapomnieli o inspektorze Janin, który nadal przeczesywał dzielnicę la Chapelle, póki nie dowiedział się z gazet, że muzyk został przesłuchany przez Maigreta i wypuszczony na wolność.

— Pyta, czy może trzeba mieć go na oku.

— Nie warto. Nic poza tym?

Lucas już miał odpowiedzieć, gdy zadzwonił telefon. Maigret podniósł słuchawkę.

— Komisarz Maigret przy aparacie — rzekł marszcząc brwi.

Lucas od razu zrozumiał, że to ważna rozmowa.

— Mówi Etienne Gouin — odezwał się głos w słuchawce.

— Słucham.

— Jak się dowiaduję, przed chwilą skończył pan przesłuchiwać moją asystentkę.

To Lucile Decaux zatelefonowała do swego szefa i opowiedziała mu wszystko.

— Owszem — odrzekł Maigret.

— Jeśli chce pan uzyskać jakieś informacje na mój temat, wydaje mi się właściwsze, żeby pan zwrócił się wprost do mnie.

Lucas odniósł wrażenie, że Maigret na moment stracił pewność siebie i z trudem zachowuje zimną krew.

— Niech mi pan to zostawi do własnej oceny — odparował szorstko.

— Pan wie, gdzie mieszkam.

— Wiem bardzo dobrze. Przyjdę zobaczyć się z panem.

W słuchawce nastąpiła cisza. Komisarza dobiegł niewyraźny kobiecy głos, to prawdopodobnie pani Gouin mówiła coś do męża. Profesor zapytał:

— Kiedy?

— Za godzinę, półtorej. Nie jadłem jeszcze kolacji.

— Czekam na pana. Rozmowa została zakończona.

— Profesor? — zapytał Lucas.

Maigret skinął potakująco.

— Czego chce?

— Żebym go przesłuchał. Jesteś wolny?

— Mam iść tam z panem?

— Tak. Przedtem pójdziemy coś przekąsić.

Jedli w restauracji na placu Dauphine, przy stole nazwanym stołem Maigreta, bo komisarz setki razy zamawiał tam obiady i kolacje. Przez cały posiłek nie odezwał się ani słowem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Maigret w czasie swej pracy w policji przesłuchiwał tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi, niektórzy z nich zajmowali ważne stanowiska, inni słynęli ze swego bogactwa, jeszcze inni, należący do międzynarodowych mafii przestępczych, uchodzili za swoistego rodzaju geniuszy.

Mimo to do czekającego go teraz przesłuchania przywiązywał większą wagę niż do któregośkolwiek z poprzednich i nie decydował o tym status społeczny Gouina, nie robiła też na komisarzu specjalnego wrażenia światowa sława, jaką cieszył się profesor.

Wyczuwał doskonale, że od samego początku śledztwa Lucas nie może dociec, dlaczego jego szef nie zada wprost kilku konkretnych pytań profesorowi. Teraz także nastrój Maigreta zbijał biednego Lucasa z tropu.

Dlaczego właściwie tak postępował? Maigret nie mógł tego wyznać koledze, nie przyznałby się nikomu, nawet swojej żonie. Na dobrą sprawę nawet sam sobie nie odważył się tego do końca sprecyzować.

Istotnie, to, czego dowiedział się o życiu profesora, zrobiło na nim silne wrażenie. Ale z powodu, którego nikt zapewne by nie odgadł.

Podobnie jak Gouin, Maigret urodził się w małej wiosce w środkowej Francji, i tak jak on wcześniej zaczął żyć na własny rachunek.

Komisarz przecież także studiował medycynę. Gdyby miał możliwości ukończenia studiów... Nie zostałby chyba chirurgiem — sprawność manualna nigdy nie była jego mocną stroną — ale miał poczucie, że między nim a kochankiem Lulu istnieją wspólne cechy.

Było to pewnym zarozumiałstwem z jego strony, dlatego też wolał o tym nie myśleć. Mieli obydwaj — tak mu się wydawało — mniej więcej zbliżoną znajomość ludzi i życia.

Nie była to wiedza tego samego rodzaju, różnił ich zwłaszcza sposób reagowania na wydarzenia. Stanowili dwa przeciwieństwa, ale przeciwieństwa o równej wartości.

O faktach z życia profesora dowiedział się Maigret ze słów i zachowania się pięciu różnych kobiet. Poza tym widział jedynie jego sylwetkę na tle avenue Carnot, fotografię wiszącą nad kominkiem Lucile, a najbardziej odkrywczą dla niego była niewątpliwie krótka telefoniczna relacja Janviera o pojawieniu się profesora w mieszkaniu Luizy Filon.

Wkrótce dowie się, czy jego domysły są słuszne. Przygotował się niezwykle starannie do tej rozmowy. Zabierał z sobą Lucasa nie dlatego, że potrzebował jego pomocy, ale by nadać ich spotkaniu bardziej oficjalny charakter, a być może w gruncie rzeczy także dlatego, by samemu sobie uprzytomnić, że idzie na avenue Carnot jako komisarz policji śledczej, nie jako osoba prywatna zainteresowana indywidualnością słynnego chirurga.

Przy kolacji wypił wino. Gdy kelner zapytał go, co sobie życzy do picia, zamówił stary burgundzki trunek i teraz, wsiadając do samochodu, czuł miłe ciepło rozchodzące się po ciele.

Na avenue Carnot panował spokój, ulica zdawała się wyludniona, zza firanek sączyło się łagodne światło. Mijając lożę konsjerżki poczuł niemal namacalnie jej pełen wyrzut wzrok.

Wsiadł z Lucasem do windy. Wokół nich dom żył własnym spokojnym rytmem, chroniącym sekretów mieszkających tu ludzi.

Była ósma czterdzieści, kiedy Maigret pociągnął za gładką miedzianą rączkę włączającą mechanizm elektrycznego dzwonka. Dość młoda i raczej ładna pokojówka w kokietyjnym fartuszkach na czarnej sukience otworzyła im drzwi i powiedziała:

— Może panowie zechcą zdjąć płaszcze...

Maigret zastanawiał się, czy Gouin przyjmie ich w salonie, to znaczy w niejako „domowej” części mieszkania. Nie od razu było to jasne. Pokojówka powiesiła płaszcze w szafie, zostawiła gości w przedpokoju i zniknęła.

Nie pojawiła się już więcej, ale Gouin nie dał na siebie czekać. Wydawał się teraz jakby wyższy i szczuplejszy. Spojrzał na nich przelotnie i powiedział ściszym głosem:

— Proszę tędy.

Szedł przed nimi korytarzem prowadzącym do biblioteki. Jej ściany niemal całkowicie pokrywały oprawione książki, z lamp sączyło się łagodne światło, w kominku, dużo większym od kominka w mieszkaniu Lucile Decaux, płonęły szczapy drzewa.

— Proszę siadać.

Profesor wskazał im ręką fotele i sam usiadł również. Ale wszystko to nie miało znaczenia. Maigret i Gouin właściwie jeszcze na siebie nawet nie spojrzeli. Lucas czuł się tu zbędny, a w dodatku fotel, stojący najbliżej kominka, był dla niego za głęboki, siedział więc w bardzo niewygodnej pozycji.

— Spodziewałem się, że przyjdzie pan sam. Maigret przedstawił swego współpracownika:

— Inspektor Lucas będzie notował w trakcie przesłuchania.

Dopiero w tym momencie po raz pierwszy ich spojrzenia skrzyżowały się i Maigret dojrzał w oczach profesora cień wymówki. Być może nawet, ale tego nie był pewny, jakby rozczarowanie. Z trudem zresztą przyszłoby mu to rozszyfrować, bo biorąc pod uwagę powierzchowność, profesor wyglądał dość przeciętnie. Podobne twarze spotyka się często wśród śpiewaków operowych, duże, kościste ciało, wyraźne rysy, worki pod oczami.

Jasne niewielkie tęczęwki nie miały w sobie szczególnego blasku, ale spojrzenie kryło niezwykłą siłę.

Gdy Gouin spoglądał tak na niego, Maigret przysięgłby, że kieruje nimi ta sama ciekawość drugiej osoby.

Czy profesor także oczekiwał, że znajdzie się wobec kogoś o mniej banalnym wyglądzie?

Lucas wyciągnął z kieszeni notatnik i długopis, dodając sobie w ten sposób pewności.

Nie było jeszcze wiadomo, jaki ton przybierze ta rozmowa, i Maigret celowo nie chciał pierwszy zabrać głosu Czekał.

— Czy nie wydaje się panu, że byłoby bardziej słuszne, gdyby pan skierował się wprost do mnie, a nie zwracał głowy tej biednej dziewczynie?

Profesor mówił w sposób naturalny, monotonnym głosem, jakby rozmawiał o sprawach codziennych.

— Ma pan na myśli panią Decaux? Nie wydała mi się wcale zakłopotana. Myślę, że zadzwoniła do pana, kiedy tylko od niej wyszedłem.

— Powtórzyła mi dokładnie pana pytania i swoje odpowiedzi. Wbiła sobie do głowy, że to coś ważnego. Kobiety odczuwają stałą potrzebę upewniania się o własnej ważności.

— Lucille Decaux jest pana najbliższą współpracowniczką, prawda?

— To moja asystentka.

— Czy poza tym nie spełnia funkcji pańskiej sekretarki?

— Zgadza się. A nawet jeździ ze mną wszędzie, jak z pewnością panu opowiedziała. Wydaje jej się w związku z tym, że odgrywa w moim życiu zasadniczą rolę.

— Jest w panu zakochana?

— W ten sam sposób, w jaki byłaby zakochana w każdym innym szefie, byleby był sławny.

— Wydała mi się niezwykle panu oddana, do tego stopnia, że byłaby gotowa złożyć w razie potrzeby fałszywe zeznanie, gdyby to okazało się konieczne dla pana dobra.

— Zrobiłaby to bez wahania. Moja żona także się z panem skontaktowała.

— Powiedziała to panu?

— Podobnie jak Lucile, powtórzyła mi najdrobniejsze szczegóły waszej rozmowy.

Mówił o żonie tym samym obojętnym głosem, którym mówił o swej asystentce. W głosie tym nie wyczuwało się żadnego ciepłego tonu. Konstatował fakty, zdawał sprawozdanie, nie nadając temu, co mówił, żadnej wagi uczuciowej.

Stykający się z nim ludzie podziwiali z pewnością jego prostotę i rzeczywiście nie było w nim żadnej pozy, w najmniejszym nawet stopniu nie interesowało go wrażenie, jakie robił na innych.

Rzadko się zdarza spotkać człowieka, który nie gra żadnej roli, nawet wtedy, gdy jest sam. Większość odczuwa potrzebę słuchania siebie i patrzenia na siebie.

Gdy mówił o Lucile Decaux, jego słowa, jego postawa miały znaczyć: „To, co ona uważa za oddanie, jest tylko pewnym rodzajem próżności, potrzebą, by czuć się kimś wyjątkowym. Każda z moich studentek zrobiłaby to samo. Uatrakcyjnia sobie życie i z pewnością wyobraża sobie, że winien jej jestem wdzięczność”.

Nie precyzował swoich myśli, gdyż uważał Maigreta za człowieka zdolnego do zrozumienia wielu rzeczy, rozmawiał z nim jak równy z równym.

— Nie dowiedział się pan jeszcze, dlaczego zadzwoniłem dzisiaj do pana i prosiłem pana o przybycie. Zresztą, wie pan, tak czy inaczej miałem ochotę pana poznać.

Zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Jego słowa były z pewnością szczerze. Od momentu kiedy usiedli naprzeciwko siebie, Gouin nie przestawał ani na chwilę obserwować Maigreta, nie krył się z tym zresztą, badał go wzrokiem, jakby badał jakiś ludzki fenomen, wzbudzający jego zainteresowanie.

— Dzisiaj w czasie kolacji odebrałem telefon od pewnej osoby, którą pan już zna. Chodzi o panią Brault, sprzątaczkę Luizy.

Nie nazywał jej Lulu, ale Luizą, mówił o niej w sposób równie prosty jak o innych, dobrze się orientując, że dodatkowe informacje są tu zupełnie zbędne.

— Pani Brault wbiła sobie do głowy, że może mnie szantażować. Oznajmiła mi to dość obcesowo, nie od razu zrozumiałem jej pierwsze zdanie, które brzmiało: „Proszę pana, mam rewolwer”. Zastanawiałem się początkowo, o jaki rewolwer chodzi.

— Jedno pytanie, jeśli pan pozwoli.

— Bardzo proszę.

— Czy spotkał już pan kiedykolwiek przedtem panią Brault?

— Nie sędzę. Luiza mówiła mi o niej. Znała ją, zanim zamieszkała w tym domu. Zdaje się, że jest to jakieś dziwaczne stworzenie, wiele razy siedziała podobno w więzieniu. Sprzątała u Luizy tylko rano, a mnie o tej porze nie zdarzało się tam wpadać, więc nie przypominam sobie, bym ją kiedykolwiek widział. Może minąłem ją przypadkowo na schodach?

— Proszę mówić dalej.

— Poinformowała mnie więc, że wchodząc do salonu w poniedziałek rano znalazła rewolwer na stole i...

— Powiedziała: na stole?

— Tak. Dorzuciła, że schowała go na klatce schodowej w fajansowej donicy z rośliną. Pańscy ludzie nie pomyśleli zapewne, żeby przeszukać także wszystko poza mieszkaniem.

— To sprytne z jej strony.

— Krótko mówiąc posiada ona jakoby ten rewolwer i jest skłonna oddać mi go w zamian za pewną znaczną sumę pieniędzy.

— Oddać go panu?

— Należy do mnie.

— Skąd pan to wie?

— Opisała mi go dokładnie, podała też numer serii.

— Od jak dawna ma pan tę broń?

— Osiem albo dziewięć lat. Pojechałem kiedyś przeprowadzić pewną operację do Belgii. Wtedy podróżowałem częściej niż teraz. Zdarzało się nawet, że wzywano mnie aż do Stanów Zjednoczonych lub Indii. Żona często się skarżyła, że boi się zostawać sama w domu przez parę dni, czasami nawet parę tygodni. Zatrzymałem się wtedy w hotelu w Liège i w

hotelowym sklepie zauważyłem broń wytwarzaną w tej okolicy. Przyszło mi do głowy, żeby kupić mały automatyczny rewolwer. Dodam, że nie zadeklarowałem go na granicy.

Maigret uśmiechnął się.

— W którym pokoju leżała ta broń?

— W szufladzie mojego biurka. Tam właśnie widziałem ją ostatni raz kilka miesięcy temu. Nigdy jej nie używałem. Zupełnie o niej nie pamiętałem, kiedy odbierałem ten telefon.

— Co pan odpowiedział pani Brault?

— Że dam jej odpowiedź później.

— Kiedy?

— Prawdopodobnie dziś wieczorem. Od razu do pana zadzwoniłem.

— Pójdiesz tam, Lucas? Masz adres?

— Tak, szefie.

Lucas wyraźnie był zachwycony, że może uciec z dusznej atmosfery tego pokoju, bo chociaż obaj mężczyźni mówili/ściszonym głosem o pozornie zwykłych sprawach, czuło się w tej rozmowie głucho napięcie.

— Znajdzie pan swój płaszcz czy może życzy pan sobie, żebym zadzwonił na pokojówkę?

— Znajdę.

Kiedy za Lucasem zamknęły się drzwi, przez moment panowała cisza. Przerwał ją Maigret.

— Pana żona wie o tym?

— O szantażu pani Brault?

— Tak.

— Słyszała moje odpowiedzi, bo telefon przyjąłem w jadalni. Resztę sam jej powtórzyłem.

— Jak zareagowała?

— Radziła mi ustąpić.

— Nie zastanowiło to pana?

— Widzi pan, czy to będzie moja żona, Lucile Decaux czy jakakolwiek inna, wszystkie one odczuwają głębokie zadowolenie wmawiając sobie, do jakiego stopnia są mi oddane. To taki mały konkurs, która bardziej mi pomoże i będzie się mną lepiej opiekować.

Mówił bez ironii, a także bez urazy, rozkładał na części i analizował charakter tych kobiet z taką samą obojętnością, z jaką przeprowadzałby sekcję zwłok.

— Jak pan myśli, dlaczego moja żona odczuła nagłą potrzebę skomunikowania się z panem? Żeby przybrać rolę małżonki chroniącej spokój i pracę swojego męża.

— A tak nie jest?

Spojrzał na Maigreta, ale nic nie odpowiedział.

— Pańska żona, profesorze, zdaje się wykazywać, według mnie, dość rzadko spotykaną tolerancję wobec pana osoby.

— Rzeczywiście, nie uważa się za zazdrosną.

— Tylko się nie uważa czy nie jest nią istotnie?

— To zależy od sensu, jaki nadaje pan temu pojęciu.

Niewątpliwie nie ma dla niej żadnego znaczenia, że sypiam z kim się da.

— Nawet jeśli to jest Luiza Filon?

— Na początku, tak. Niech pan nie zapomina, że Germaine była nikomu nie znaną pielęgniarzką, kiedy z dnia na dzień stała się panią Gouin.

— Kochał ją pan, profesorze?

— Nie.

— Dlaczego się pan z nią ożenił?

— Żeby mieć kogoś do prowadzenia domu. Staruszka zajmująca się dotąd moim gospodarstwem ciągnęła resztkami sił. Nie lubię być sam, panie komisarzy. Nie wiem, czy zna pan to uczucie.

— Być może także woli pan, by ludzie z pana otoczenia wszystko panu zawdzięczali? Nie zaprotestował. Przeciwnie, ta uwaga Maigreta sprawiła mu jakby przyjemność.

— Tak, w pewnym sensie.

— I właśnie dlatego wybrał pan kobietę z biednego środowiska?

— Inne irytują mnie w najwyższym stopniu.

— Wiedziała, wychodząc za męża, co ją czeka?

— Bardzo dobrze.

— W którym momencie zaczęła okazywać swoje niezadowolenie?

— Nigdy nie okazywała żadnego niezadowolenia. Widział ją pan przecież. Zachowuje się w sposób nienaganny, doskonale zajmuje się domem, nigdy nie nalega, byśmy gdzieś wyszli wieczorem czy też zaprosili przyjaciół na kolację.

— Jeśli dobrze rozumiem, dni upływają jej na czekaniu, aż pan przyjdzie.

— Właściwie tak. Wystarczy jej fakt, że jest panią Gouin i że pewnego dnia zostanie wdową po panu Etienne Gouin.

— Sądzi pan, że jest interesowna?

— Powiedzmy, że nie będzie zmartwiona, mogąc rozporządzać pewnego dnia zostawionym przeze mnie majątkiem. Chwilowo założę się, że podsłuchuje nas pod drzwiami. Zaniepokoił ją mój telefon do pana. Wołałaby, żebym przyjął pana w salonie w jej obecności.

Mówiąc to nie zniżył głosu i Maigret przysięgłby, że w sąsiednim pokoju ktoś poruszył się cicho.

— Pańska żona twierdzi, że to ona zasugerowała panu, by umieścić Luizę Filon w tym domu.

— To prawda. Nie pomyślałem o tym jakoś. Nawet nie wiedziałem, że zwolnił się tu jeden apartament.

— Czy ten układ nie wydał się panu dziwaczny?

— Dlaczego?

Pytanie Maigreta zdziwiło go.

— Czy pan kochał Luizę?

— Niech pan posłucha, komisarzu, używa pan tego słowa już po raz drugi. W medycynie nie jest ono znane.

— Potrzebował jej pan?

— Fizycznie, tak. Czy muszę to wyjaśniać? Mam sześćdziesiąt dwa lata.

— Wiem.

— Oto cała sprawa.

— Nie był pan zazdrosny o Pierrota?

— Wołałbym, żeby nie istniał.

Tak jak w domu Lucile Decaux, Maigret wstał, by dorzucić do ognia na kominku. Nagle poczuł, jak bardzo jest spragniony. Profesor nie pomyślał o poczęstowaniu go czymś do picia. Wódka, którą zamówił do kolacji, zostawiła mu dziwny smak w ustach, palił bez przerwy.

— Spotkał go pan kiedyś? — zapytał.

— Kogo?

— Pierrota.

— Raz. Zazwyczaj tak się oboje urządzali, żeby się to nie mogło zdarzyć.

— Co Lulu czuła w stosunku do pana?

— Jak pan sądzi, co mogła odczuwać? Myślę, że zna pan historię jej życia. Oczywiście mówiła mi o wdzięczności i przywiązaniu. Prawda była dużo prostsza. Nie miała ochoty wracać do nędznych warunków, w jakich znajdowała się przedtem. Pan powinien to zrozumieć. Ludzie, którzy naprawdę poznali, co to głód, którzy byli biedni w całym ponurym

sensie tego słowa, a którzy w taki czy inny sposób wyszli z tego, zrobią wszystko, żeby nie przeżywać po raz wtóry takiego samego koszmaru.

Była to prawda, Maigret sam o tym wiedział najlepiej.

— Kochała Pierrota?

— Jak pan jest przywiązany do tego słowa! — westchnął profesor z rezygnacją. — Musiała przecież mieć jakąś sentymentalną historię w swoim życiu. Musiała także stwarzać sobie problemy. Powiedziałem przed chwilą, że kobiety odczuwają potrzebę, by czuć się kimś ważnym. Zapewne z tego powodu komplikują sobie życie, bez przerwy się nad czymś zastanawiają, wyobrażają sobie, że muszą dokonywać jakichś wyborów.

— Między czym a czym? — zapytał Maigret z cieniem uśmiechu na ustach, chcąc zmusić rozmówcę do sprecyzowania swych myśli.

— Luiza wyobrażała sobie, że musi wybierać między tym jej muzykiem a mną.

— A nie miała tego wyboru?

— Na dobrą sprawę nie. Mówiłem już panu dlaczego.

— Nigdy panu nie groziła zerwaniem?

— Nieraz jej się zdawało, że się waha.

— Nie obawiał się pan, że to kiedyś nastąpi?

— Nie.

— A czy nie nalegała na małżeństwo?

— Jej ambicje nie sięgały tak daleko. Jestem przekonany, że byłaby nieco przerażona tą perspektywą. Nie musiała koniecznie stać się panią Gouin, potrzebowała jedynie poczucia bezpieczeństwa. Opalane mieszkanie, trzy posiłki dziennie, porządne ubrania.

— Co by się z nią stało, gdyby pana zabrakło?

— Zabezpieczyłem jej przyszłość.

— Lucile Decaux także?

— Nie. To zbędne. Gdybym umarł, uczepliłaby się kurczowo mojego następcy, tak jak uczepliła się kurczowo mnie, i w jej życiu nic by się nie zmieniło.

Przerwał im dzwonek telefonu. Gouin już miał podnieść słuchawkę, zatrzymał się w pół gestu.

— To z pewnością pański inspektor?

Był to w rzeczy samej Lucas, telefonował z posterunku policji na Batignolles, znajdującego się w pobliżu domu Désirée Brault.

— Mam tę broń, szefie. Najpierw upierała się, że nie wie, o czym mówię.

— Co z nią zrobiłeś?

— Mam ją tu z sobą.

— Zawieź ją na Prefekturę. Gdzie znalazła rewolwer?

— Nadal twierdzi, że leżał na stole.

— Z czego wywnioskowała, że należy do profesora?

— Dla niej to oczywiste. Nie podała żadnych szczegółów. Jest wściekła. Chciała mnie podrapać. A co on mówi?

— Nic konkretnego. Rozmawiamy sobie.

— Mam tam przyjechać?

— Wpadnij najpierw do laboratorium i upewnij się, czy na pistolecie nie ma żadnych odcisków palców. Przy okazji zawieziesz tam tę swoją uwięzioną.

— Dobrze, szefie — westchnął Lucas bez entuzjazmu.

Teraz dopiero Gouin pomyślał, żeby zaproponować coś do picia.

— Może kieliszek koniaku?

— Chętnie.

Profesor nacisnął dzwonek. Pokojówka, ta sama, która wprowadzała Maigreta i Lucasa, zjawiła się wkrótce w pokoju.

— Koniak!

Nie rozmawiali aż do jej powrotu. W chwilę potem weszła niosąc na tacy jeden kieliszek.

— Pan wybaczy, ja nigdy nie piję — powiedział profesor. Nie była to prawdopodobnie jakaś nobliwa zasada ani dieta ze względu na stan zdrowia, Gouin po prostu nie potrzebował tego typu używek.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Maigret pił powoli. Siedząc z kieliszkiem w ręku patrzył na twarz profesora, a ten z kolei obserwował spokojnie Maigreta.

— Konsjerżka także, o ile się nie mylę, winna jest panu wdzięczność, prawda? Zdaje się, że uratował pan życie jej synowi.

— Nie oczekuję niczyjej wdzięczności.

— Ale ona jest panu jednak oddana i tak jak Lucile Decaux byłaby gotowa skłamać, byleby oszczędzić panu kłopotów.

— Z pewnością tak. Zawsze przyjemnie jest uważać się za bohatera.

— Czy żyjąc w otoczeniu, które tak pan ocenia, nie czuje się pan czasem samotny?

— Istota ludzka jest samotna, niezależnie od tego, co na ten temat sobie wyobrażamy. Wystarczy raz na zawsze to uznać i przystosować się do tego.

— Zdawało mi się, że samotność napełnia pana zgrozą?

— Nie o takiej samotności mówiłem. Można to ująć inaczej, jeśli pan woli: pustka mnie przeraża. Nie znoszę być sam w mieszkaniu, na ulicy czy w samochodzie. Chodzi mi o samotność w sensie fizycznym, nie moralnym.

— Boi się pan śmierci?

— Nie ma to dla mnie znaczenia, czy umrę. Nienawidzę śmierci jako takiej, z wszystkim, co w sobie zawiera. Pan, komisarzu, w pańskiej pracy styka się z nią niemal tak samo często jak ja.

Profesor orientował się doskonale, że to jego słaby punkt, że ten strach przed śmiercią w samotności stanowi drobną ludzką ułomność, i to mimo wszystko sprawia, że jest takim samym człowiekiem jak inni. Nie wstydził się tego.

— Od czasu mojego ostatniego ataku serca niemal zawsze ktoś mi towarzyszy. Z medycznego punktu widzenia nie daje to nic. A jednak, choć może się to wydać dziwne, każda obecność uspokaja mnie. Raz, kiedy byłem sam na mieście i poczułem się niedobrze, wszedłem do pierwszego lepszego baru.

Maigret wybrał ten właśnie moment, żeby zadać pytanie, które od dawna już trzymał w rezerwie.

— Jak pan zareagował, kiedy spostrzegł pan, że Luiza jest w ciąży?

Profesor wydał się zdziwiony, nie samym pytaniem, ale tym, że fakt ten może stanowić dla kogoś jakiś problem.

— W ogóle nie zareagowałem — odrzekł z prostotą.

— Nie mówiła panu o tym?

— Nie. Myślę, że jeszcze się nie orientowała.

— Dowiedziała się w poniedziałek koło szóstej. Widział ją pan później. Nic panu nie powiedziała?

— Tyle tylko, że nie czuje się najlepiej i że kładzie się do łóżka.

— Czy myślał pan, że to pana dziecko?

— Nic takiego nie myślałem.

— Nigdy pan nie miał dzieci?

— Z tego, co wiem, to nie.

— Nigdy nie przyszła panu ochota, żeby mieć dziecko?

Jego odpowiedź zaszokowała Maigreta, który od trzydziestu lat tak bardzo chciał zostać ojcem.

— Po co? — zapytał profesor.

— No, rzeczywiście!

— Co chce pan przez to powiedzieć?

— Nic.

— Niektórzy ludzie, nie mający żadnych poważnych zainteresowań, wyobrażają sobie, że posiadanie dziecka nada ich życiu jakieś znaczenie, że staną się przydatni, że w ten sposób coś po nich pozostanie. Ze mną tak nie jest.

— Czy nie sądzi pan, że biorąc pod uwagę pański wiek i wiek Pierrota, Lulu mogła przypuszczać, że ojcem dziecka jest ten drugi?

— Naukowo to nie ma nic do rzeczy.

— Mówię tylko o tym, co jej się roilo w głowie.

— Możliwe.

— Czy nie był to wystarczający powód, żeby się zdecydowała opuścić pana dla Pierrota?

— Nie — odpowiedział profesor bez wahania, tonem człowieka przekonanego o swojej racji. — Z pewnością zapewniałaby mnie, że to moje dziecko.

— Uznałby je pan?

— Dlaczego nie?

— Nawet gdyby pana ojcostwo nie było pewne?

— Co to za różnica? Każde dziecko jest tyle samo warte.

— Czy ożeniłby się pan z matką tego dziecka?

— Nie widzę powodu, żeby to robić.

— A czy zdaniem pana Lulu należałaby na ślub?

— Jeśliby nawet usiłowała, nie wskórałaby nic.

— Dlatego że nie chce pan zostawić żony?

— Po prostu dlatego, że uważam te komplikacje za śmieszne i zbędne. Odpowiadam panu szczerze, bo uważam pana za człowieka, który jest zdolny mnie zrozumieć.

— Mówił pan o tym wszystkim swojej żonie?

— W niedzielę po południu, jeśli dobrze pamiętam. Tak, w niedzielę. Spędziłem popołudnie w domu.

— Dlaczego pan jej o tym powiedział?

— Powiedziałem także mojej asystentce.

— Wiem.

— No więc widzi pan.

Miał rację przypuszczając, że Maigret go rozumie. W sposobie mówienia profesora o otaczających go ludziach, a właściwie głównie o kobietach, było coś straszliwie wyniosłego i jednocześnie tragicznego. Odnosił się do nich mając na względzie wyłącznie to, co sobą przedstawiały, bez najmniejszych złudzeń, od każdej oczekiwał jedynie tego, co mogła mu dać. W jego oczach kobiety te niewiele się właściwie różniły od martwych przedmiotów.

Nie zadawał sobie także trudu, żeby ukrywać przed nimi swoje myśli. Jakie to miało znaczenie? Mógł przy nich zastanawiać się na głos, nie obawiając się ich reakcji, nie dbając w ogóle o to, co one mogą czuć lub przeżywać.

— Jak zachowała się pana żona?

— Zapytała mnie, co zamierzam robić.

— Odrzekł pan, że chce pan uznać dziecko?

Skinął potakująco głową.

— Czy nie przyszło panu na myśl, że to wyznanie mogło sprawić jej ból?

— Być może.

Tym razem Maigret wyczuł u swego rozmówcy coś, co do tej pory umknęło jego uwadze. W głosie profesora wymawiającego „być może” zabrzmiało ukryte zadowolenie.

— Zrobił pan to specjalnie? — zaatakował komisarz.

— Mówiąc jej to?

Maigret był przekonany, że Gouin wolałby się teraz nie uśmiechnąć, pozostać niewzruszony, ale było to silniejsze od niego i po raz pierwszy jego wargi rozciągnęły się w dziwnym grymasie.

— W sumie więc spodobało się panu, że wywołał pan taki niepokój u pana żony i asystentki?

Sposób, w jaki Gouin milczał, stanowił przyznanie się.

— Czy jednej z nich nie mógł przyjść do głowy pomysł zgładzenia Luizy Filon?

— Z tą myślą obie musiały już żyć się od dawna. Jedna i druga nienawidziły Luizy. Nie znam nikogo, kto by w jakiejś chwili swego życia nie życzył sobie czyjejś śmierci. Tylko że rzadko zdarzają się tacy, którzy są zdolni do zrealizowania tego pomysłu. Na szczęście dla was, komisarzu!

Wszystko to było prawdą, i to właśnie w tej rozmowie oszałamiało nieco Maigreta. W głębi duszy od samego początku ich spotkania myślał on to samo, co profesor. Ich poglądy dotyczące motywów ludzkiego postępowania nie różniły się tak bardzo.

Różniło ich jedynie podejście do tego problemu. Gouin posługiwał się wyłącznie tym, co Maigret nazwałby zimnym rozsądkiem. Komisarz natomiast próbował...

Trudno by mu było określić, czego próbował. Być może zrozumienie ludzi napełniało go uczuciem, które miało w sobie coś z litości, ale przeważała w nim sympatia i żal.

Gouin patrzył na nich z góry.

Maigret ustawiał się na tym samym co oni poziomie.

— Luiza Filon została zamordowana — powiedział powoli.

— Takie są fakty. Ktoś zdecydował się na ostateczność.

— Zastanawiał się pan, kto to może być?

— To pańskie zadanie, nie moje.

— Czy pomyślał pan, że to pan mógłby być podejrzany?

— Oczywiście. Kiedy jeszcze nie wiedziałem, że moja żona zwróciła się do pana, dziwiłem się, że nikt się nie zgłasza, by mnie przesłuchać. Konsjerżka uprzedziła mnie, że mówiono panu o mnie.

Ta też! A Gouin traktował to jak należny mu dar!

— Pojechał pan w poniedziałek wieczór do szpitala Cochin, ale został pan przy chorym tylko pół godziny.

— Poszedłem na czwarte piętro do pokoju zarezerwowanego do mojej dyspozycji.

— Był pan tam sam i nic nie stało na przeszkodzie, żeby wyszedł pan nie zauważony ze szpitala, przyjechał tutaj taksówką i wrócił do swego pokoju.

— W jakich godzinach, według pana, miałyby nastąpić te przejazdy?

— Na nieszczęście między dziewiątą a jedenastą.

— O której Pierre Eyraud był u Luizy?

— Za piętnaście dziesiątą.

— A więc musiałbym zabić Luizę potem?

— Owszem — zgodził się Maigret.

— Biorąc pod uwagę czas konieczny na przejazdy, musiałbym opuścić szpital między dziesiątą a wpół do jedenastej, zgadza się pan?

Maigret policzył w myśli. Rozumowanie profesora było logiczne. I komisarz nagle poczuł się zawiedziony. Coś wymykało się spod jego kontroli, rozmowa zaczynała przebiegać inaczej, niż to przewidział. Czekał na dalszy ciąg.

— Tak się składa, panie komisarzu, że pięć po dziesiątej jeden z moich kolegów, doktor Laruin, który chwilę przedtem badał jakiegoś pacjenta, przyszedł do mnie. Nie był pewny swej diagnozy. Poprosił mnie, czybym nie mógł zejść z nim na trzecie piętro, co też uczyniłem. Nie mogła tego panu powiedzieć ani moja asystentka, ani nikt z personelu na moim oddziale, gdyż o tym po prostu nie wiedzieli. Nie jest to zeznanie zdenerwowanej

kobiety, pragnącej wyciągnąć mnie z kłopotów, ale pięciu czy sześciu różnych osób, w tym chorego, który nigdy przedtem mnie nie widział i prawdopodobnie nie wie nawet, jak się nazywam.

— Nigdy nie przypuszczałem, że to pan zabił Lulu.

Maigret specjalnie użył tego zdrobnienia; profesor zdawał się go nie lubić. Komisarz także chciał być teraz okrutny.

— Spodziewałem się jedynie, że będzie pan usiłował kryć osobę, która zabiła.

To był celny strzał. Gouin zaczerwienił się lekko i spuścił na chwilę wzrok z komisarza.

Rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Pokojówka wprowadziła Lucasa niosącego w ręku niewielką paczuszkę.

— Żadnych śladów — powiedział odwijając rewolwer i podając go Maigretowi.

Zmęczony bieganiem po mieście spoglądał kolejno to na jednego, to na drugiego, zdziwiony panującym w gabinecie spokojem, zdziwiony także tym, że obaj siedzą dokładnie na tych samych fotelach i w tej samej pozycji, jak gdyby czas stanął w miejscu.

— To pański rewolwer, panie Gouin, prawda?

Była to fantazyjnie wykonana broń z niklowaną lufą i perłową kolbą, gdyby nie strzelano z tak bliska, z pewnością nie wyrządziłaby dużej krzywdy.

— Brakuje jednej kuli — wyjaśnił Lucas. — Zadzwoiłem już do Gastine–Renette’a, jutro zrobi zwykłe analizy, ale właściwie jest niemal przekonany, że to właśnie tego rewolweru użyto w poniedziałek.

— Przypuszczam, że zarówno pańska żona, profesorze, jak i pańska asystentka, miały dostęp do szuflady pana biurka? Nie zamyka jej pan na klucz?

— Niczego nie zamykam na klucz.

To także był dowód swoistej pogardy dla ludzi. Nie miał nic do ukrycia. Mało go obchodziło, że ktoś wejrzy w jego osobiste dokumenty.

— Czy nie zdziwił się pan, zastając w poniedziałek wieczorem po powrocie do domu swoją szwagierkę?

— Zazwyczaj mnie unika!

— Ta kobieta chyba pana nienawidzi, prawda?

— To też taki sposób na uatrakcyjnienie sobie życia.

— Pańska żona zeznała, że jej siostra wpadła do niej przypadkowo, akurat wtedy przechodząc.

— To możliwe.

— Natomiast Antoinette w czasie przesłuchania powiedziała, że siostra zadzwoniła do niej, prosząc ją o przyjęcie.

Gouin słuchał uważnie, ale jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Siedział rozparty wygodnie w fotelu i Maigreta uderzyła długość jego palców, wysmukłych jak palce pianisty.

— Siadaj, Lucas.

— Czy mam poprosić o jeszcze jeden koniak?

Lucas odmówił.

— Trzeba sprawdzić wiarygodność jednego punktu w zeznaniach pańskiej żony, a może to zrobić tylko pan.

Profesor przybrał wyczekującą pozę.

— Jakiś czas temu zaśląbł pan podobno w mieszkaniu Lulu.

— Owszem. To wersja trochę przesadzona, ale prawdziwa.

— Czy prawdą jest również, że pana kochanka, przerażona, zawołała pańską żonę?

Gouin wydawał się zdziwiony.

— Kto to panu powiedział?

— Nieważne. Czy to prawda?

— Niezupełnie.

— Zdaje pan sobie oczywiście sprawę, że pana odpowiedź ma ogromne znaczenie.

— Zdaję sobie z tego sprawę sądząc po sposobie, w jaki pan zadaje mi to pytanie, ale nie mam pojęcia dlaczego. Pewnej nocy źle się poczułem. Poprosiłem Luizę, żeby weszła do mnie na górę i wzięła fiolkę z lekarstwem, która leżała w łazience. Luizie otworzyła moja żona, gdyż pokojówki już spały, mają swój pokój na szóstym piętrze. Żona, która też już spała, kiedy Luiza przyszła na górę, sama poszukała fiołki.

— Zeszły razem?

— Tak. Tyle że w tym czasie atak minął i ja już wychodziłem z mieszkania Luizy. Przekraczałem właśnie próg, kiedy pojawiły się Luiza i moja żona, obie w nocnych strojach.

— Przepraszam na sekundę.

Maigret szepnął parę słów do Lucasa i ten wyszedł z pokoju. Gouin nie zadał żadnych pytań, nie okazał też zdziwienia.

— Czy kiedy pan stał na progu mieszkania Luizy, drzwi były otwarte na oścież?

— Nie, przymknięte.

Maigret wolałby, żeby profesor skłamał. Od godziny już chciał usłyszeć, jak Gouin próbuje coś zataić, ale ten wykazywał całkowitą szczerość.

— Jest pan tego pewny?

Dawał mu ostatnią szansę.

— Absolutnie.

— Czy z tego, co panu wiadomo, pańska żona nigdy nie odwiedziła Lulu w jej mieszkaniu na trzecim piętrze?

— Pan jej nie zna, komisarzu.

Czyż Germaine Gouin nie zapewniała, że tylko ten jeden raz miała okazję wejść do mieszkania Luizy Filon?

A więc owej nocy nie było jej tam. Natomiast kiedy zeszła na rozmowę z Maigretem, nie obrzuciła pokoju ciekawym spojrzeniem, zachowywała się tak, jakby świetnie знаła to miejsce.

Było to jej drugie kłamstwo, do którego należało dorzucić fakt zatajenia przed komisarzem wiadomości, że Lulu oczekiwała dziecka.

— Myśli pan, że ona ciągle podsłuchuje pod drzwiami? Postawienie Lucasa na straży u wejścia do domu okazało się zbędnym środkiem ostrożności.

— Jestem tego pewny... — zaczął profesor.

I rzeczywiście drzwi otworzyły się. Pani Gouin zrobiła dwa kroki, tyle tylko, żeby móc spojrzeć mężowi prosto w twarz, i Maigret nigdy jeszcze nie widział w ludzkich oczach tyle nienawiści i pogardy. Profesor nie odwrócił głowy, zniósł uderzenie, nawet nie drgnąwszy.

Komisarz wstał.

— Jestem zmuszony aresztować panią.

Odpowiedziała niemal z roztargnieniem, patrząc ciągle na męża:

— Wiem.

— Sądzę, że wszystko pani słyszała?

— Tak.

— Przyznaje się pani do zabicia Luizy Filon?

Skinęła twierdząco głową i można było sądzić, że rzuci się zaraz z furią na profesora, który wciąż wytrzymywał jej spojrzenie.

— On wiedział, że tak się stanie — zaczęła w końcu urywanym głosem, a jej pierś unosiła się w szybkim oddechu. — Teraz się zastanawiam, czy on właśnie tego nie chciał, czy nie zwierzał mi się z pewnych rzeczy z pełną świadomością, żeby mnie do tego popchnąć.

— Zadzwoiła pani po siostrę, żeby mieć alibi?

Znowu skinęła potakująco. Maigret ciągnął:

— Sądę, że zeszła pani na trzecie piętro, kiedy pod pretekstem przygotowania grogu opuściła pani siostrę?

Zmarszczyła brwi i wzrok jej spoczął z kolei na komisarzu. Wyraźnie się wahała, wyczuwało się w niej wewnętrzną walkę. W końcu rzuciła suchym tonem:

— To nieprawda!

— Co?

— Że moja siostra została sama w pokoju.

Maigret zaczerwienił się pod ironicznym spojrzeniem Gouina, które wyraźnie miało oznaczać: „A nie mówiłem?”

Germaine Gouin nie umiała sama unieść ciężaru zbrodni.

Mogła nic nie powiedzieć. Mówiła.

— Antoinette wiedziała, co chcę zrobić. W ostatniej chwili opuściła mnie odwaga, zeszła więc ze mną.

— Weszła do mieszkania?

— Została na schodach.

I dodała po chwili takim tonem, jakby rzucała wszystkim wyzwanie:

— Trudno! Taka jest prawda.

Jej usta drżały w ledwo wstrzymywanym gniewie.

— Teraz będzie mógł na nowo otworzyć swój harem!

Pani Gouin myliła się. W życiu profesora nie nastąpiły wielkie zmiany. W parę miesięcy później zamieszkała z nim Lucile Decaux. Nadal pracowała jako jego asystentka i sekretarka. Czy nalegała na małżeństwo? Maigret nic o tym nie wiedział. W każdym razie profesor nie ożenił się powtórnie.

Kiedy w jakiejś rozmowie ktoś przytaczał jego nazwisko, komisarz udawał, że nie słyszy, i pospieszenie zmieniał temat.